

Profesor z innej epoki

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jerzy Starnawski ur. 22 lutego 1922 r., zm. 9 listopada 2012 r.

Wspomnienie w czwartą rocznicę śmierci



Profesor Jerzy Starnawski

Profesor to mój mistrz i nauczyciel. Miał wielki wpływ na to, kim teraz jestem i czym się zajmuję. Był naukowcem o fenomenalnej pamięci, perfekcyjnie opanowanym warsztacie literaturoznawczym i wielkiej miłości do literatury polskiej. Przekazał mi zobowiązanie wobec polskiej kultury.

Można o nim opowiadać anegdoty, bo w realnym życiu był czasami nieobecny, ale jego wkład w badania nad polską literaturą jest ogromny, a ilość napisanych prac niebywała.

Pamiętam mój pierwszy wykład na polonistyce na Uniwersytecie Łódzkim. Prowadził go prof. Jerzy Starnawski – opiekun naszego roku. Podczas wykładu narzekał, że młodzież teraz nie zna greki i łaciny. Zobowiązywał nas, żeby braki licealne nadrabiać, bo jacy z nas będą humaniści, skoro nie znamy języków klasycznych.

Wykładał historię literatury staropolskiej. Naszym podstawowym podręcznikiem miał być tzw. „Chrzan”, czyli podręcznik Ignacego Chrzanowskiego „Historia literatury niepodległej Polski (965-1795)”. Podręcznik ten mieliśmy uzupełnić nowszymi opracowaniami (Jerzego Ziomka – „Renesans”, Czesława Hernasa – „Barok”). Mówił, że wprawdzie podręcznik Chrzanowskiego ma wady, ale został napisany, gdy Polska była pod zaborami, więc niesie ze sobą wielki ładunek emocjonalny i patriotyczny. Wiedzę można zawsze uzupełnić, a miłość do literatury to bagaż na całe życie.

Na egzamin z literatury staropolskiej na pierwszym roku czekałam przed salą egzaminacyjną przez trzy dni. Od rana do wieczora. Profesor był tak dokładny i tak długo każdego przepytывał, że kolejka niewiele się posuwała. A ja byłam dopiero na „s”. Co jakiś czas ktoś wychodził i opowiadał jak wyglądał egzamin. Profesor strofował za sformułowania – na bazie czegoś, w oparciu o coś. – To jest język ekonomii, a nie literatury – mówił zde gustowany. – I źle się kojarzy z „bazą i nadbudową” z filozofii marksistowsko-leninowskiej.

Moje odpowiedzi na egzaminie mu się podobały. Czułam, że sprawdzał nie tylko wiedzę, ale i zrozumienie wagi, jaką jest dbanie o polską tradycję literacką. Mimo, że dobrze odpowiadałam, dostałam czwórkę z egzaminu. Na piątkę umie profesor, student najwyżej na czwórkę – to była zasada „Starnaviusa”, jak na niego mówiliśmy.

Na wykład nie wolno było przyjść z kurtką w ręku, czy w płaszczu, nie wolno się było też spóźnić. Profesor rygorystycznie przestrzegał, szacunku dla wykładowcy. Studenci też się starali szanować jego wymagania.

To były czasy, że czuło się duży respekt przed profesorem i nie kwestionowało się jego decyzji, czy zwyczajów.

Profesor Starnawski twierdził, że niezwykle użytecznym przedmiotem w badaniach naukowych jest – pudełko do butów. Do rozmiaru pudełka docina się fiszki i alfabetycznie układa bibliografię. Jeśli trafi się na informację, która musi znaleźć się

w naszej pracy, łatwo ją dodać, bez konieczności przepisywania całej bibliografii. W czasach komputerów pewnie trudno sobie wyobrazić, że wiele rzeczy robiło się na „piechotę”.

Gdy przyszedł czas pisania pracy magisterskiej uparłam się na swój temat „Dzieje teatru zamkowego w Łańcucie”. Związane to było z długą historią. Napisałam list do pani kustosz Powozowni Zamkowej w Łańcucie, Teresy Żurawskiej, z prośbą o bibliografię, kiedy miałam dziesięć lat. Od tej pory zaczęła się korespondencja z nieocenioną panią Teresą, a moja wiedza na temat rodziny Potockich i dziejów zamku wciąż się powiększała. Pracy magisterskiej na taki temat nikt nie napisał, byłaby to praca pionierska. Pani Teresa mnie zachęcała, – Joasiu przyjeżdżaj, pokój gościnny w zamku na ciebie czeka.

Niestety, nie mogłam znaleźć promotora. Profesorowie, do których się zgłaszałam mówili, że nie są specjalistami, bo to temat z historii teatru, a nie literatury, czy że powinnam się specjalizować w jednej epoce, a nie pisać pracę przekrojową. Po którejś odmowie siedziałam zmartwiona na korytarzu i widzę biegnącego przez korytarz profesora Starnawskiego, z ręcznikiem i mydełkiem w ręku. – A ty dziecko, masz już promotora? – dźwięcznie zapytał. – Opowiedziałam więc mu o mojej przygodzie z Łańcutem i podzieliłam się rozterkami. Zaprosił mnie do gabinetu. – To teraz już masz promotora – oznajmił. Profesor uważał, że jeśli student ma jasno określone zainteresowania, nie należy ich ograniczać, a wręcz przeciwnie, rozwijać.

Nie myślałam wtedy, że to będzie początek przygody naukowej, i że związę się z Katedrą Literatury Staropolskiej na długi czas. Przed obroną pracy magisterskiej powiedział, żebym się nie denerwowała, bo to ja jestem największą specjalistką w tym temacie. Następnego dnia po obronie, profesor zaprosił mnie do swojego gabinetu o wczesnorannej porze, wyjął stertę prac magisterskich i doktorskich, posadził mnie przy biurku w swoim gabinecie i polecił, żebym się zastanowiła nad tematem doktoratu. Byłam zaskoczona, o doktoracie nie myślałam. Zaproponował mi też asystenturę w jego Katedrze, jak się znajdzie etat. Znalazł się po roku i zaczęłam pracować w Katedrze Literatury Staropolskiej Uniwersytetu Łódzkiego.

Profesor miał zwyczaj zapisywania różnych instrukcji na skrawkach papieru, odwrocie biletów tramwajowych, tylnej stronie maszynopisu, gdzie czcionka

przebijająca na drugą stronę. Uważał, że szkoda lasów, że papier trzeba oszczędzać. Teraz łapię się na tym, że też tak robię, wykorzystuję każdą wolną część papieru, na robienie notatek.

Nie marnował też czasu, zawsze coś czytał, albo notował. Nawet w kolejce do życzeń ślubnych czytał poezję Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego.

Kiedyś przysłał do niego z listem Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego – literata i ministra wojny z okresu Powstania Listopadowego, do mojej prapraprababci Faustyny Sokołowskiej, wdowy po byłym oficerze Pawle Sokołowskim. List ten był w zbiorach rodzinnych. Profesor sprawdził w Nowym Korbucie i w Estreicherze, że taki rękopis nie jest skatalogowany. Potem skonsultował się z grafologiem, czy podpis jest oryginalny. Był oryginalny. Dostałam więc zadanie napisać artykuł na temat tego rękopisu. Miałam sprawdzić daty urodzin i śmierci wszystkich osób wymienionych w liście i napisać charakterystykę tych osób. Jeździłam po parafiach, sprawdzałam. Miałam motywację rodzinną, a jednocześnie uczyłam się warsztatu naukowego w opracowaniu dokumentu epistolograficznego. Wysłałam ten artykuł i kopię listu do potomków Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego w Montrealu. Ucieszyli się, powiedzieli, że nie mają z swoich zbiorach ani oryginału, ani kopii autografu słynnego przodka.

Profesor Starnawski wysyłał mnie na różne konferencje naukowe, nawet jak nie miałam przygotowanego referatu, żebym uczyła się słuchając najlepszych. Tak poznałam słynnych profesorów Aleksandra Gieysztora, Janusza Tazbira czy Tadeusza Ulewicza.

Pamiętam wizytę na naszym uniwersytecie profesora Bernharda Kytzlera z Berlina. Był on bardzo znanym na świecie specjalistą od literatury klasycznej, a do tego poliglotą. Ja dostałam zadanie, aby się nim zajmować, odebrać z lotniska i zapewnić program w ciągu trzech dni. Pokazałam mu Łódź. Profesor Kytzler był bardzo dociekliwy prosił, żebym mu tłumaczyła nazwy ulic, np. co to był Manifest PKWN, czy co oznacza data 22 lipca. Jak się chciałam poddać, ze względu na braki w słownictwie niemieckim, profesor nie odpuszczał, pytał się w inny sposób, korzystając z dużej gamy skojarzeń. Miał niezwykłą umiejętność dociekania do sedna.

Aby zapewnić atrakcje profesorowi Kytzlerowi, wymyśliłam wycieczkę do Nieborowa. Pojechaliśmy samochodem z moim tatą. Tata, konstruktor maszyn włókienniczych, uczył się języka chińskiego. Jeździł wtedy do Chin, aby w Azji wprowadzać w życie swoje wynalazki. Wiedząc, że gość zna różne języki, w tym chiński, powiedział kilka zdań po chińsku. Profesor odpowiedział płynnym chińskim. Zauważył, że tata mówi po kantońsku.

Po czasie prof, Starnawski powiedział mi, że przydzielił mi zadanie zajmowania się gościem z zagranicy, abym poznała ludzi ze świata, ćwiczyła język i poradziła sobie sama w kontakcie z ciekawym naukowcem.

W pamięci mam wizytę w ośrodku, gdzie prof. Starnawski odbywał rekonwalescencję po przebytym zawale. Profesor mówił wtedy, że czuje się jak rozbita szklanka. Na szczęście żył jeszcze wiele, wiele lat. Miał w sobie niebywałą siłę.

O profesorze Jerzym Starnawskim można by długo opowiadać. Był niezwykle ważną postacią w świecie nauki, ale przede wszystkim był wielkim człowiekiem, którego się nie zapomni.

**Profesor Jerzy Starnawski -
mój Mistrz**



Profesor Jerzy Starnawski (po prawej).

Maria Wichowa

Zarys biografii naukowej

Jerzy Starnawski urodził się w Guzówce (pow. Krasnystaw) dn. 27 lutego 1922 roku, jako syn Tadeusza i Marii z Kuczyńskich. W roku 1931 jego rodzina przeniosła się do Lublina. Uczył się w Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, gdzie w roku 1939 zdał maturę. Przez trzy lata (1933-1936) był uczniem wybitnego polonisty, dra Ludwika Kamykowskiego. *„On mnie uczynił polonistą”* – powiedział po latach Profesor w rozmowie z Marią Bokszczanin (*„Polonistyka”* 1990, nr 10). Odebrał wychowanie patriotyczne. Po wybuchu II wojny światowej, jako żołnierz XIX Dywizji Piechoty uczestniczył w obronie Grodna, następnie został internowany na Litwie i miał być wywieziony w głąb Rosji. Jednak zbiegł z obozu i przez czas jakiś mieszkał w Wilnie. Przy próbie przedostania się do Lublina wpadł w ręce niemieckie. Był więziony razem z jeńcami radzieckimi. Przebywał w obozach Witzendorf, Zeven i Sandbostel. W kwietniu 1944 roku powrócił do Lublina. Pod koniec okupacji działał w tajnym nauczaniu, redagował pismo *„W Ogniu Walki”*, które następnie zmieniło

tytuł na „Jestem Polakiem”.



Jerzy Starnawski



Jerzy Starnawski

Studiował polonistykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w latach 1944-1948. Magisterium otrzymał na podstawie pracy *Tragizm w dziełach Karola Huberta Rostworowskiego*. Jego mistrzem był Juliusz Kleiner. Jerzy Starnawski w rok po egzaminie magisterskim doktoryzował się. W roku 1950 niedawno wypromowany doktor podjął pracę w KUL, gdzie był zatrudniony do roku 1964. Najpierw zajmował stanowisko starszego asystenta, od roku 1956, i od roku 1958 docenta. W roku 1964 przeniósł się na Uniwersytet Łódzki, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę w roku 1992 jako kierownik Katedry Literatury Staropolskiej i Nauk Pomocniczych. W UŁ najpierw był zatrudniony na stanowisku docenta, od roku 1974 profesora nadzwyczajnego a od roku 1981 profesora zwyczajnego. W UŁ stworzył najpierw Zakład od 1981 przemieniony w Katedrę. Równolegle w latach 1975-1984 pracował

na pół etatu w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Po przejściu na emeryturę nadal przez kilka lat pracował na części etatu w UŁ, a oprócz tego w Wyższej Szkole Pedagogiczno - Humanistycznej w Łowiczu.



Profesor Jerzy Starnawski

Był wybitnym uczonym o wielkim dorobku, znanym i cenionym w środowisku slawistów i neolatynistów w całej Europie. Jego dorobek liczy ok. 1200 artykułów, recenzji, edycji nieznanych utworów wydobytych z rękopisów, listów i innych

tekstów. Wśród jego prac jest wiele takich, które informują o odkryciu nowych utworów czy dokumentów liczne inedita. Jego publikacje zawierają wiadomości o odkryciu przez Profesora wielu poloniców, rozsianych po bibliotekach całej Europy, bardzo często dzieł unikatowych, zawartych w rękopisach bibliotek naukowych Paryża, Rzymu, Kopenhagi itd.. Profesor pozostawił po sobie ok. 50 książek. Z nazwiskiem Starnawski polonistom kojarzy się nieodparcie znakomity podręcznik *Warsztat bibliograficzny historyka literatury polskiej* (1971) i *Warsztat bibliograficzny historyka literatur obcych* (1988). Profesor był wybitnym edytorem odkrytych przez siebie tekstów. Doświadczenie zdobyte w praktyce umożliwiło mu napisanie podręcznika *Praca wydawcy naukowego* (1979). Przygotował szereg prac edytorskich, m.in. wydania pism Orzechowskiego w Bibliotece Narodowej (1972), Szymona Starowolskiego *Scriptorum Polonicorum Hecatontas (Setnik pisarzy polskich, 1970)* oraz *Sarmatiae bellatores (Wojownicy sarmaccy, 1978)*. Oba dzieła opublikował we własnych przekładach z łaciny z komentarzem i wstępem oraz wprowadzeniem do lektury. Jerzy Starnawski ma też w swoim dorobku edycję tekstów łacińskich. Zaszczyt mi przynosi wydanie pieśni Eustachego Konobelsdorfa, wydobytego z zapomnienia przez Profesora znakomitego poety XVI w., pochodzącego z Warmii.

Tom: *Eustachius Cnobelsdorf, Carmina Latina, Cracoviae* (1995). Książka wyszła w serii Corpus Antiquissimorum Poetarum Poloniae Latinorum usque ad Ioannem Cochranovium, t. 8. To właśnie dzięki staraniom prof. Starnawskiego seria ta została reaktywowana w PAU. Następny 9. również przygotował Jerzy Starnawski, we współpracy z Romualdem Turasiewiczem. Zawiera Marcina Kromera *Carmina Latina* (2003). Mistrz opracował i wydał z przekładem tom Korespondencja Macieja Kazimierza Sarbiewskiego ze Stanisławem Łubieńskim (1986). Horacym chrześcijańskim zajmował się przez wiele lat, opublikował na jego temat tak wiele prac, że był najlepiej przygotowanym polskim uczonym do napisania nowej monografii tego poety. Jako edytor Jerzy Starnawski zasłużył się wydając w Bibliotece Filologii Polskiej pod red. Tadeusza Ulewicza tomy studiów zmarłych historyków literatury. Przygotował pracę Wilhelma Bruchnalskiego w książce *Miedzy średniowieczem a romantyzmem* (1975), a następnie zbiór studiów Stanisława Łempickiego *Wiek złoty i czasy romantyzmu w Polsce* (1992). Poza wymienioną serią wydał wybór prac Ignacego Chrzanowskiego (2003). Dokonał reedycji prac swego

mistrza uniwersyteckiego Juliusza Kleinera. Mianowicie przygotował tom jego studiów o Krasińskim (1977), monografię o Słowackim (1999). Jako badacz pozostałych po Kleinerze rękopisów zredagował tom *Studia inedita* (1964), trzeci obejmujący prace o Krasickim, Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim oraz drugą książkę tego uczonego *Sentymentalizm i Preromantyzm* (1975) – wykłady o literaturze porozbiorowej przed Mickiewiczem.

Jako badacz literatury staropolskiej pracował nad największymi pisarzami okresu renesansu (Rej, Orzechowski, Frycz Modrzewski, Kromer). Jerzy Starnawski ma w swoim dorobku monografię *O zwierzyńcu Mikołaja Reja z Nagłowic* (1971), *Andrzej Frycz Modrzewski. Żywot, dzieło, sława* (1981). Ważną książką jest *Średniowiecze*, wydane w serii Biblioteka Polonistyki (1975, 1989), z obszernym wstępem syntetycznym pt. *Kultura średniowiecza i ze świetnie skomponowanym działem Materiały*, i obejmującym wybór tekstów o wiekach średnich zarówno badaczy polskich jak i obcych. Publikacja ta jest bardzo użyteczna w dydaktyce uniwersyteckiej.

Jako nauczyciel akademicki prowadził wykład z historii literatury staropolskiej. Po przejściu na emeryturę zebrany przez lata materiał zamieścił w książce *Zarys dziejów literatury staropolskiej* (1993). Docenić też trzeba wyniki badań zawarte w książce *Pisarze jezuicki w Polsce (wiek XVI – XIX),. Studia i materiały* (2007). Ważne pozycje w dorobku Jerzego Starnawskiego to monografie i monograficzne zbiory studiów. Trzeba tu wymienić *Drogi rozwojowe hagiografii polskiej i łacińskiej w wiekach średnich* (1993) – zarys monograficzny. Już po wydrukowaniu książki, gdy profesor wręczał mi egzemplarz autorski, zauważył pomyłkę w tytule, bowiem zgodnie z zamiarem autora i z zawartością publikacji powinno być „hagiografii łacińskiej i polskiej”. Łódzki neolatynista zredagował i prawie w całości wypełnił swymi pracami dwa tomy zbiorowe *Antyk w Polsce* (cz. I, 1992, cz. II, 1998), choć w części drugiej zespół autorów znacznie się rozszerzył. Bardzo intensywnie współpracował z czasopismem „Filomata” w porozumieniu z prof. Józefem Korfantym – redaktorem naczelnym. Przygotował szereg numerów tego pisma, poświęconych antykowi w Polsce: w średniowieczu (nr 403), w epoce renesansu (nr 405, 406), w dobie baroku (nr 408), w oświeceniu (nr 412), romantyzmu (nr 414-416), w drugiej połowie w. XIX (nr 419/420). Najwięcej było prac Mistrza, mniej pracowników Katedry i UŁ, do „epok późniejszych” redaktor zapraszał autorów także z innych

ośrodków naukowych. W tej grupie prac trzeba też wymienić książkę *Antyk wciąż żywy* (2010). Dość dużo artykułów o tematyce neolatynistycznej zawierają tomy studiów Mistrza: *Odrodzenie. Czasy. Ludzie. Książki* (1991), *W świecie barokowym* (1992), *Wieki średnie i wiek renesansowy w Polsce* (1996), *Od zarania dziejów literatury polskiej po wiek XX* (2003), *Pisarze jezuicki (wiek XVI-XIX). Studia i materiały* (2007), *Z dziejów renesansu w Polsce* (2007).



Profesor Jerzy Starnawski

Profesor Starnawski dużo wysiłku umysłowego poświęcił badaniu dziejów polonistyki. W jednej z książek omówił dorobek wybitnego historyka literatury Bronisława Chlebowskiego (1986). Następne poświęcone są badaniom środowisk naukowych. Tak więc opracował *Sylwetki lwowskich historyków literatury* (1997), następnie *Sylwetki wileńskich historyków literatury* (1997), *Sylwetki krzemienieckich historyków literatury* („Biesiada Krzemieniecka”, 2003), *Sylwetki*

lubelskich humanistów XIX i pierwszej połowy XX w. (2004). Ponadto wydał cztery tomy prac pt. *Z dziejów polskiej nauki o literaturze* (seria IV 2011), *Z dziejów polskiej nauki o literaturze w wieku XIX i XX* (1997). Opracował *Zarys dziejów katedry języków i literatur słowiańskich w Uniwersytecie Fryburskim* (1984). Zupełnie wyjątkową i fundamentalną pracą profesora jest książka *Dzieje wiedzy o literaturze polskiej do końca wieku XVIII* (1984), wydana przez PAN, Instytut Historii Nauki, Oświaty i Techniki. Jako badacz dziejów polonistyki powołał do życia i redagował *Słownik badaczy literatury staropolskiej*, w dziesięciu tomach, opracowany tzw. systemem holenderskim (każdy tom w układzie alfabetycznym A-Z). Zeszyt próbny ukazał się w r. 1986, t.1-10 w l. 1994-2009 i indeks haseł w 2009. Tomy I-VI wydał UŁ, zaś pozostałe ŁTN.

Jerzy Starnawski był znakomitym bibliologiem, wielokrotnie pisał o bibliografiach, bibliofilach i bibliologach dawnych i współczesnych. Opublikował dwa tomy prac pt. *Ludzie książki* (2000-2008). Przez wiele lat prowadził seminarium magisterskie w Katedrze Literaturoznawstwa. Profesor prowadził badania w szerokich kontekstach kulturowych, czego dowodem jest książka *Polska w Europie* (2001). Wykazywał w niej nasze tysiącletnie więzi kulturalne z Europą i dowodził, że nie ma mowy o żadnym wchodzeniu Polski do Europy, bo w jej kulturze jesteśmy od zawsze obecni. Mój Mistrz był znakomitym neolatynistą, znanym w krajach Europy zachodniej. Jest odkrywcą ważnych tekstów łacińskich i ich edytorem oraz badaczem. Zaczął prezentację swoich studiów bardzo efektownie. Mianowicie w roku 1966 został zaproszony do Brna na zjazd EIRENE (Stowarzyszenia Filologów Klasycznych Krajów Demokracji Ludowej). Przedstawił tam referat o odkrytym przez siebie utworze czeskiego poety Wacława Klemensa pt. *Lechiados Libri IV* z pierwszej połowy XVII w. W tych okolicznościach poznał łódzki uczony profesora Józefa Isejwina z Lovanium, organizatora I Kongresu Neolatynistów, który zainteresowawszy się tym odkryciem zaprosił J. Starnawskiego na ten kongres. Przypadać musi, że jako neolatynista łódzki filolog był bardziej znany i ceniony za granicą niż w kraju. Dzieje swych neolatynistycznych peregrynacji naukowych przedstawił w tomie *Kongresy, sympozja, sesje naukowe* (1999). Uczestniczył w nich przez prawie trzydzieści lat. Niektóre prace nad poezją łacińską doby staropolskiej umieścił w tomie *Antyk wciąż żywy* (2010), a niezliczone prace o autorach rodzimych wypowiadających się w mowie Cyserona umieszczał w czasopiśmie. Badał teksty Dantyszka, Knobelsdorfa,

Krzyckiego, Reja, Kochanowskiego, Kromera, Sarbiewskiego, Wujka, Skargi i innych. Miał bardzo rozległą wiedzę, która pozwalała mu napisać kompetentnie pracę *Poezja nowołacińska krajów Europy środkowej w pracach ostatnich dziesiętków lat* (1988).

Mistrz był bardzo aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Filologicznego. Pierwszy odczyt wygłosił tam 25 II 1966 roku. Mówił na temat *Przydatność znajomości języka łacińskiego dla badań literackich*. Zdarzały się takie lata, gdy występował jako prelegent dwu lub trzykrotnie. W ostatnich latach życia profesor tracił siły, był mniej aktywny w PTF. W lutym 2009 roku podjął decyzję o wystąpieniu z Towarzystwa.



Profesor Jerzy Starnawski z żoną Teresą.

Hojnie płacił daninę swojej ziemi rodzinnej. Ogłaszał liczne biogramy humanistów lubelskich, pisał o osiągnięciach naukowych i kulturalnych Lubelszczyzny, o Lublinie w literaturze i literaturze o Lublinie, o pisarzach Lubelszczyzny. Z wielką sympatią mówił i pisał o Tadeuszu Szeteli, „ludowym historyku”, chłopskim uczonym, autorze dwóch monografii wsi: *Do Brzechowa i Koźuchowa*. Dość dużo miejsca poświęcił w swych badaniach twórcom romantyzmu. We wczesnych latach działalności naukowej ogłosił książkę (pierwszą w swoim dorobku *Juliusz Słowacki we wspomnieniach*

współczesnych (1956)), potem *Adam Mickiewicz w poezji polskiej i obcej* (1961), zbiór studiów o twórczości i recepcji czterech wielkich romantyków *W świecie olbrzymów* (1998), a tuż przed śmiercią opublikował tom *W kręgu czterech wielkich romantyków* (2012), jeszcze zdążył wziąć tę książkę do reki i sporządzić notatkę na temat rozdysponowania egzemplarzy autorskich. W tym samym czasie otrzymał paczkę z kolejną książką *Z ziemi przemyskiej i z krajów sąsiednich* (2012). Opublikowaniem książki *Reymont i inni* zareagował na „rok reymontowski” (2000).

Profesor Jerzy Starnawski należał do kilku Towarzystw Naukowych: Towarzystwa Naukowego KUL, Lubelskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyślu, gdzie był wieloletnim redaktorem zeszytu *Literatura i Język Rocznika Przemyskiego*. Należał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Zamościu oraz do Towarzystwa im. Marii Konopnickiej, do Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza. W roku 1967 został przyjęty do Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Przez wiele kadencji przewodniczył Wydziałowi I Językoznawstwa Nauk o Literaturze i Filozofii. Za swe wybitne zasługi otrzymał członkostwo honorowe ŁTN. Znakomicie organizował prace wydziału, redagował Sprawozdania z Czynności i Posiedzeń ŁTN. W roku 1992 został członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności a w roku 1997 członkiem czynnym. Przez kilka lat przewodniczył Komisji do badania dziejów polskiej nauki o literaturze przy Komitecie Nauk o Literaturze PAN. Za swą twórczość był uhonorowany nagrodami Rektora UŁ, nagrodami Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał także medal Komisji Edukacji Narodowej.

Wraz z odejściem Profesora Jerzego Starnawskiego na wieczny odpoczynek skończyła się ważna era w badaniach nad literaturą polską w UŁ. To był człowiek – instytucja, znakomity uczony, wyjątkowa indywidualność profesorska, wybitny humanista, erudyta prowadzący dynamicznie badania na wielką skalę i dobrze uprawiający dydaktykę w uczelni, którą dosłownie traktował jak świątynię wiedzy.

„Teatr spełnionych nadziei” - opowieść o polskim teatrze w Toronto.



Panorama Toronto od strony jeziora Ontario, fot.: Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Jest to opowieść o teatrze w Toronto założonym przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego z Krakowa, Marię Nowotarską. Oto fragment wstępu - jak

powstawała książka.

Gdy wylądowałam w Toronto na lotnisku Pearson po wielogodzinnej podróży, w moje imieniny, 24 maja 2001 roku, z niepewnością myślałam, co mnie tu czeka. Zaczynał się nowy rozdział w moim życiu. Jaki, to się dopiero miało okazać. Na razie były tylko labirynty korytarzy, ruchome schody, windy i wielkie szyby, w których widziałam swoje odbicie. (...) Lądując na lotnisku Pearson, wiedziałam, że mój świat, jedyny w swoim rodzaju, który sobie urządziłam wiele lat, zostawiam za sobą bezpowrotnie. Nie, nie żałowałam, ale liczyłam się z tym, że w Kanadzie, w mało uniwersalnym zawodzie nie znajdę pracy. Dokonałam jednak wyboru między moim polskim życiem, z kochającą rodziną, na którą zawsze mogłam liczyć, przyjaciółmi, znajomymi miejscami, a emigracyjnym, nieznanym, zaoceanicznym światem Jacka. Zdawałam sobie sprawę, że kończy się jakiś etap, a ja zamykam za sobą drzwi na zawsze.

Spotkanie z teatrem

Pamiętam ten wieczór bardzo dobrze. Małgorzata Bonikowska, redaktor do spraw kultury w torontońskiej „Gazecie”, wysłała mnie na spektakl Marii Nowotarskiej o Marianie Hemarze, z prośbą, żebym napisała recenzję. Szłam z mieszanymi uczuciami, wydawało mi się, że na emigracji nie ma warunków, aby mógł powstać zawodowy teatr, i że zapewne wysłucham paru piosenek, wierszy i na tym się skończy. Do tego Paweł Deląg zaproszony na spektakl, jako gwiazda wieczoru, w ostatniej chwili odwołał przyjazd do Toronto. Przedstawienie jednak bardzo mnie zaskoczyło. To był w pełni udratyzowany spektakl teatralny, z akcją, kostiumami, dekoracją, w przeznaczonych do tego sali teatralnej Burnhamthorpe Library Theatre w Mississaudze. Występujący artyści byli profesjonalistami, do tego dobrze przygotowanymi i wyreżyserowanymi. Dowiedziałam się też dużo o Hemarze, o różnych etapach jego życia, marzeniach i rozczarowaniach. Mimo że znałam jego teksty, podczas tego spektaklu po raz pierwszy zobaczyłam Hemara jako żywego człowieka, a nie odeszłą w przeszłość legendę. Postać została uplastyczniona poprzez odpowiednio zbudowany scenariusz i czar sceny, któremu poddali się wszyscy uczestnicy. Zauważyłam wśród publiczności śmiech, radość i łzy wzruszenia. Zapewne razem z Hemarem zostały wyciągnięte z zakamarków emigracyjnej duszy własne wspomnienia o białych bzach pachnących w maju, kiedy szło się za rękę z ukochanym, czy inne momenty sentymentów młodości. Poczułam wtedy, że twórcy

tego teatru podchodzą do pracy z wielkim szacunkiem dla widza i swoją bezinteresowną, ciężką pracę dają nam, dorosłym Polakom na emigracji i młodemu pokoleniu, które urodziło się w Kanadzie. Budują pomost dla naszej tożsamości, pomiędzy ojczyzną a krajem, który adoptowaliśmy. Po spektaklu za kulisami pojawił się profesor Florian Śmieja, iberysta i poeta mieszkający kiedyś w Londynie, który chodził na „hemarowe” spektakle. Ten wieczór przywołał też i jego wspomnienia. Byłam pod wrażeniem połączenia historii, legendy i rzeczywistości. Otwierał się przede mną sezam ze skarbami kultury, pasją tworzenia i misją do spełnienia. Zapraǳnęłam o tym wszystkim pisać. To był nowy obszar, w który wchodziłam. Uwierzyłam, że i tu, w Kanadzie, mogę znaleźć swoją wyspę i nie muszę żegnać się z zawodem.

Propozycja



Maria Nowotarska i Jerzy Pilitowski na balkonie swojego apartamentu, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Dom Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego okazał się bardzo przyjazny. Wielki, miękki fotel, w którym można było się zapaść bez reszty i zapomnieć o całym nieartystycznym świecie, zapach pysznego placka ze śliwkami – specjalność Jerzego Pilitowskiego – żarty, śmiechy, rozmowy przez telefon, drobne chwile, których się nie zapomina, pozornie ulotne zdania, będące życiową nauką. W tej rodzinnej atmosferze

powstawały pomysły sceniczne, starałam się je uchwycić w momencie tworzenia i obserwować ich rozwój. Lubiłam wielogodzinne rozmowy i ten specyficzny nowotarsko-pilitowski klimat. A potem, jadąc metrem ze stacji High Park do stacji Lawrence, z przesiadką na Yonge i Bloor, obmyślałam zapowiedzi teatralne do „Gazety”. Żyłam każdym kolejnym spektaklem, uczestniczyłam w jego powstawaniu. I tak minęły trzy lata, od kiedy znalazłam się w Toronto. W okresie świąt Bożego Narodzenia 2004 roku zostaliśmy z Jackiem zaproszeni przez Marię i Jerzego na kolację. Biesiadowaliśmy przy dużym stole nakrytym ciężką, bordowo-złotą, ozdobną tkaniną z frędzlami, Jerzy Pilitowski otworzył *icewine*. W tej „christmasowej” i domowej atmosferze z radością przyjął propozycję napisania książki o Salonie Poezji, Muzyki i Teatru – tym kulturalnym emigracyjnym fenomenie.

Jak powstawała książka

Głowę miałam pełną pomysłów. Książka o scenie, spektaklach, twórcach, ciężkiej pracy w trudnych warunkach i wielkiej pasji... Materiał ogromny, wiele osób przewinęło się przez scenę. Zaczęłam się umawiać na rozmowy. Najczęściej w apartamencie Marii i Jerzego z balkonem pełnym kwiatów i ziół, a po ich przeprowadzce na jedenaste piętro dodatkowo z widokiem na jezioro Ontario i torontońskie Downtown. Siadałam na kanapie pod portretem Marii w wielkim kapeluszu autorstwa Ilony Biernot i popijając kawę z porcelanowej filiżanki, pytałam, słuchałam, nagrywałam. Gdy było ciepło, Maria Nowotarska wyciągała mnie na spacer do High Parku nad jeziorem Ontario. Tam na ławeczce w cieniu drzew, przy fontannie, zawsze elegancka artystka w powiewnej letniej sukience opowiadała mi o sobie i swoich pomysłach. Mówiła pięknie, literackim językiem i z dużym zapałem. Malowała wizje sceny stworzonej z teatralnej wyobraźni przywiezionej z krakowskiego teatru, z tradycji literackiej i dawnej dobrej aktorskiej szkoły. Podczas rozmów otwierała się przeszłość w masce scenicznych wspomnień. Nagrywałam też Jerzego Pilitowskiego, oglądałam fotografie, a raz nawet udało mi się namówić go na zaśpiewanie słowackiej piosenki góralskiej, po słowacku, oczywiście. Mówił, że nosi się z zamiarem spisania piosenek z czasów górskich wędrówek, póki je pamięta.

Obserwowałam, jak powstaje teatr od kuchni. Próby do Powstania Warszawskiego odbywały się w siedzibie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy Dundas Street.

Partie za brakujące osoby czytała Maria Nowotarska. Podobno to normalne, nigdy nie ma kompletu artystów, pojawiają się dopiero na premierze. Trudno jest pracować, markując luki w obsadzie. Zapamiętałam ogólne zdyscyplinowanie i panujący na próbie rygor, któremu wszyscy bez wahania się poddawali. Byłam też na próbie w domu skrzypaczki Joanny Zeman, w Niagara-on-the-Lake, wiktoriańskim miasteczku z kolorowymi kamienicami, kawiarniami, galeriami, ogrodami, z letnim stukotem końskich kopyt, jeżdżącymi po ulicach białymi powozami i słynnym festiwalem Bernarda Shaw. Dom był duży, stylowo urządzony, w zacisznej alei z widokiem na strumień. Mieścił się w nim Bed and Breakfast Chateau Gate. Joanna Zeman z dumą pokazywała smyczek należący do Henryka Wieniawskiego, a w jednym z pokoi na dole – podpisy znanych osób na ścianie. Na próbę przyjechał Kazimierz Braun z Buffalo. Ja przyjechałam samochodem z Marią i Agatą z Toronto. Po drodze zatrzymałyśmy się w niemieckiej piekarni piekącej pachnący chleb z chrupiącą skórką, który budził wspomnienia z dzieciństwa. Podobno to rytuał – Maria z Agatą zawsze tu wchodzi, jeśli jadą w kierunku Buffalo. Po wypiciu kawy ruszyłyśmy dalej. W samochodzie cały czas rozmawiałyśmy o sztuce „Promieniowanie”, o Marii Skłodowskiej-Curie.



„Promieniowanie. Rzecz o Marii Skłodowskiej-Curie” – próba w domu Joanny Zeman w Niagara-on-the-Lake. Od lewej: Agata Pilitowska, Kazimierz Braun, Maria Nowotarska, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Próba z reżyserem to intensywna praca. Agata nie lubi prób i się z tym nie kryje. Potrzebuje widowni, wtedy potrafi dać z siebie wszystko. Próba dla niej to imitacja, spektakl przecież nie dzieje się naprawdę. Ale na próbie sztuki o Marii Skłodowskiej-Curie zdawała się utożsamiać z córką słynnej matki. Słysząc było w jej głosie autentyczną walkę o własne ja. Podczas spektaklu Agata złagodniała, była bardziej oszczędna w emocjach, a przez to bardziej wyrazista. Maria uważa próby za bardzo ważny element w procesie przygotowań. Jest uporządkowana, dla niej wielokrotne powtarzanie i praca nad tekstem są kuźnią dobrego rzemiosła teatralnego. Bo teatr to też technika, a nie tylko emocje.

Byłam nie tylko blisko sceny, ale przede wszystkim blisko jej twórców. Umawiałam

się też z innymi artystami, prowadziłam długie rozmowy, pytałam o różne szczegóły. Spostrzegłam, jak bardzo ten emigracyjny teatr jest potrzebny. Przyjechało tu przecież wielu wspaniałych śpiewaków, aktorów, artystów plastyków. Zostali bez swoich teatrów, bez swojego miejsca. Często wykonują inne zawody, żeby żyć, musieli się przekwalifikować. Dzięki Salonowi realizują się, nie odchodzą od tego, co ich tworzy i wypełnia – od sztuki. A Maria Nowotarska potrafi zarazić energią i pokazać, że musi się udać, nie ma innej możliwości.

Wiosną 2005 roku podjęliśmy z Jackiem decyzję wyjazdu z Toronto. Jacek dostał propozycję pracy na Rutgers University w stanie New Jersey w USA. Otwierały się przed nim nowe możliwości zawodowe, miał pracować ze znanymi osobami w jego dziedzinie – Human Computer Interaction. W wakacje zapakowaliśmy cały swój dobytek do samochodu ciężarowego i ruszyliśmy przez Buffalo i stan Nowy Jork, a potem góry Pensylwanii do New Jersey. Nowe życie, a w praktyce nowa emigracja, pochłonęło bardzo dużo naszej energii. Zamieszkaliśmy na pięknym osiedlu z basenem, na skraju lasu, z podchodzącymi pod okna sarnami, zajęcami, które godzinami mogłam obserwować, szarymi wiewiórkami i mnóstwem ptaków. Z jednej strony kontakt z naturą wzbudzał mój zachwyt, ale z drugiej, po tempie dużych miast, w których zawsze mieszkaliśmy, trudno mi było się przestawić na inne życie. Wprawdzie centrum Manhattanu oddalone było od nas tylko o jakąś godzinę drogi, ale dojazd do stacji kolejki bez możliwości zrobienia prawa jazdy okazał się przeszkodą nie do pokonania. Wypadłam przy tym z rytmu pisania książki. Brakowało mi ludzi, inspiracji, czułam się odizolowana. Pomagała mi świadomość bliskości życzliwej mi pisarki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (Oleńki od Wańkowicza), mieszkającej razem z mężem Normanem w Wilmington w stanie Delaware. Zawsze mogłam się do niej zwrócić z prośbą o radę czy przyjrzeć się warsztatowi pisarskiemu.

W stałą pomoc włączyła się moja nieoceniona mama. Spisywała wywiady, co jest zwykle bardzo czasochłonne. Była moim barometrem emocji. Gdy czytałam jej jakiś fragment, a ten ją wzruszał czy zaciekał, zostawiałam. Gdy natomiast słuchała z grzeczności, mówiąc potem „no ładnie” czy „interesujące”, wiedziałam, że muszę jeszcze popracować, wzbogacić o pewne szczegóły czy rozpisać na głosy. Mama wstawiała o szóstej rano, wtedy było cicho i mogła się skupić. Mój srebrnobiały, skośnooki kot Maciek, którego zostawiłam rodzicom, tak się przyzwyczaił do mojego

głosu dochodzącego z głośnika, że gdy minęła szósta, a moja mama nie wstawała, przychodził pod sypialnię rodziców i ją budził. A potem układał się na biurku, wsłuchując się w opowieści oraz stukot klawiszy.

Cały czas wspierał mnie Jacek. Jest osobą piszącą, więc doskonale rozumie proces tworzenia książki i opanowywania ogromnego obszaru informacji. Często z nim na ten temat dyskutowałam. Stwarzał mi warunki do pisania, rozumiejąc potrzebę powstania takiego projektu i wkładany w niego ogromny wysiłek, a także błędzenie i niepewność, która towarzyszy takiemu procesowi.



Maria Nowotarska na wycieczce w Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Kilka razy przyjechała do nas do Stanów Maria Nowotarska, „na wczasy”, jak to żartobliwie określała. Za pierwszym razem spadł śnieg. Robiliśmy długie spacery po przylegającym do naszego osiedla polu golfowym z kilkoma stawami, uginającymi się od białego puchu choinkami, pagórkami i długimi odcinkami wydeptanych ścieżek. Na śniegu widać było ślady saren, a my, podziwiając otoczenie, zagłębiałyśmy się w rozmowę. Maria, piękna i elegancka, w długim, ciemnym, futrzanym, rozkloszowanym płaszczu, wzbudzała zachwyty ubijających ścieżki pracowników pola golfowego, którzy na jej widok zatrzymywali swoje pojazdy i nisko się kłaniali. To samo było w Princeton, mieście Alberta Einsteina oraz uniwersytetu dla dzieci bogatych i ustosunkowanych rodziców, gdzie jaguar zaparkowany na ulicy nie jest

rzadkością. Ludzie wyraźnie zwracali uwagę na naszą Marię Nowotarską, na jej ubiór, chód i gesty. Po wycieczkach i spacerach siadałyśmy przy kawie i cieście, nie przestając rozmawiać i nagrywać. Wieczorem zaś otaczał nas inny klimat. Kolacja w jadalni z widokiem na posadzoną przez nas na zewnątrz choinkę ubraną w bożonarodzeniowe lampki, a potem herbata przy kominku i wsłuchiwanie się w opowieści z życia sceny, aktorów, teatru, na przykład o tym, jak Maria grała w filmie „Nikodem Dyzma” z Adolfem Dymśką, jak się przeziębila w pociągu na trasie Kraków-Łódź i nie mogła zagrać wszystkich wyznaczonych na planie scen. I wiele, wiele ciekawostek o znanych nam i lubianych ludziach teatru oraz aktorskim życiu. Tyle przy tym było żartów, dowcipu i humoru, tyle w nasz dom wniosła energii i życia, że Jacek, zwany przez Marię Jacentym, zaraz po odwiezieniu jej na lotnisko zapytał, kiedy znów do nas przyjedzie.



Maria Nowotarska i Joanna Sokołowska-Gwizdka na wycieczce do Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Przyjechała jesienią. Wtedy miałyśmy do dyspozycji inną gamę kolorów. Robiliśmy sobie wyprawy na osiemnastowieczną holenderską farmę Van Wickle House nad kanałem przy rzece Raritan, około dwudziestu minut drogi od nas. To bardzo malownicze miejsce. Przy farmie jest piękny ogród z altaną obrosniętą pnącymi różami. Z tyłu weranda z ławeczkami, z widokiem na starą studnię i drewniany

pomost prowadzący nad kanał, wśród tataraku, suchych traw, brązowych pałek i dzikiego ptactwa. Siedziałyśmy z Marią Nowotarską na ławce i rozkoszowałyśmy się ciepłem jesiennego słońca. Mówiłyśmy wtedy o Halce, Moniuszce, tradycji i artystach. Potem przechadzałyśmy się kolorową aleją wśród drzew i przydrożnych jesiennych kwiatów, prowadzącą przez groblę, pomiędzy rzeką a kanałem wykopanym przez irlandzkich emigrantów w dziewiętnastym wieku, spotykając po drodze rodziny gęsi, kaczek i żółwi wyciągających głowy ze swoich ciemnych pancerzy, pousadzanych rzędem na zwalonych pniach. Maria przyjechała do nas jeszcze kilka razy z Toronto autobusem, żeby w spokoju przygotować materiał o podróżach Salonu i autoryzować całość.



XVIII_to wieczna farma Van Wickle House nad rzeką Raritan, miejsce rozmów z Marią Nowotarską.

Oprócz wizyt Marii Nowotarskiej w naszym domu w New Jersey bardzo ważne były

moje podróże. Wiele razy jeździłam do Toronto, spotykałam się tam nie tylko z Marią, ale i z Agatą w Mississaudze w jej pięknym domu o artystycznym charakterze oraz z innymi artystami. Byłam też w Polsce. W Krakowie zatrzymałam się w mieszkaniu Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego przy ulicy Senatorskiej. Zaprosili mnie do siebie na wino i ciasto niezwykle życzliwi sąsiedzi, państwo Daniszewscy, opiekujący się mieszkaniem. Dużo się wtedy dowiedziałam o krakowskim barwnym życiu bohaterów pisanej przeze mnie książki. Wzruszyła mnie koleżanka Marii Nowotarskiej ze szkoły, nieżyjąca już pani Jadwiga Skiba. Z jaką miłością mówiła o domu „Marysi i Jurka”, o niezapomnianej pani Helenie, mamie Marysi, i o wiecznym artystycznym gwarze, który było słychać w tym mieszkaniu. Dużo czasu poświęciła mi pani Wanda Zając, sekretarka w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, która oprowadziła mnie po teatralnych zakamarkach.

Scenariusz książki wielokrotnie ulegał przebudowie. Nawet gdy miałam dokładny plan, który starałam się realizować, w trakcie pisania okazywało się, że jednak ostateczna wersja będzie inna. Przeprowadziłam 270 godzin wywiadów, spisanie ich było zaledwie pierwszym etapem pracy. Aby uzyskać jednolity charakter stylistyczny, wypowiedzi osób występujących w książce zostały zmodyfikowane przez moje pióro, przy zachowaniu ich intencji i indywidualności. Na podstawie wielu rozmów stworzyłam własny obraz, przesuwając „kamerę” z planu na plan i oddając głos kolejnym postaciom. Bohaterowie mojej opowieści zgodzili się z taką formą przekazu. Potwierdzeniem, że to dobry kierunek, była aprobatą pisarzy, którzy czytali fragmenty tekstu – Kazimierza Brauna, Kiry Gałczyńskiej i Jarosława Abramowa-Newerlego. Dodało mi to skrzydeł.

Ostatni etap pisania książki to telespotkania z Marią Nowotarską. Umawiałyśmy się na określoną godzinę i szykowałyśmy się jak na wielkie wyjście. Do tego lampka wina lub koniaku, kawa, ciasteczko i... już możemy rozmawiać. Początek rozmowy to szczegółowy opis, jak wyglądamy i co pijemy. Jacek się uśmiechał, gdy wracał z uczelni i mówił: „byłaś” dzisiaj na spotkaniu z panią Marią?

W 2013 roku nastąpiła kolejna zmiana w naszym życiu. Jacek otrzymał pracę na University of Texas at Austin. Z New Jersey przeprowadziliśmy się, jadąc przez dziewięć stanów na koniec świata – do Teksasu. Mieszkamy na przepięknym osiedlu, wśród pagórków, palm kokosowych i kwitnących kaktusów, w Austin – mieście

prężnie się rozwijającym, z nowoczesną architekturą, pełnym młodych ludzi i wszechobecnej muzyki. Tylko znów trzeba było od początku budować swój świat i oswajać nową rzeczywistość.

Książka powstawała dużo dłużej, niż to przewidziałam, w latach 2005–2013, ale wiele się przez ten czas nauczyłam. Pisałam ją głównie w New Jersey, blisko wielkich, tętniących życiem metropolii – Nowego Jorku, Filadelfii, Bostonu i Waszyngtonu, w naszym domu pomiędzy Atlantykiem a Appalachami. Była moją przygodą z teatrem i z cudownymi ludźmi. Przywiązałam się do niej i żał mi się z nią rozstawać. Ale od teraz musi już radzić sobie sama.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

<http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/>

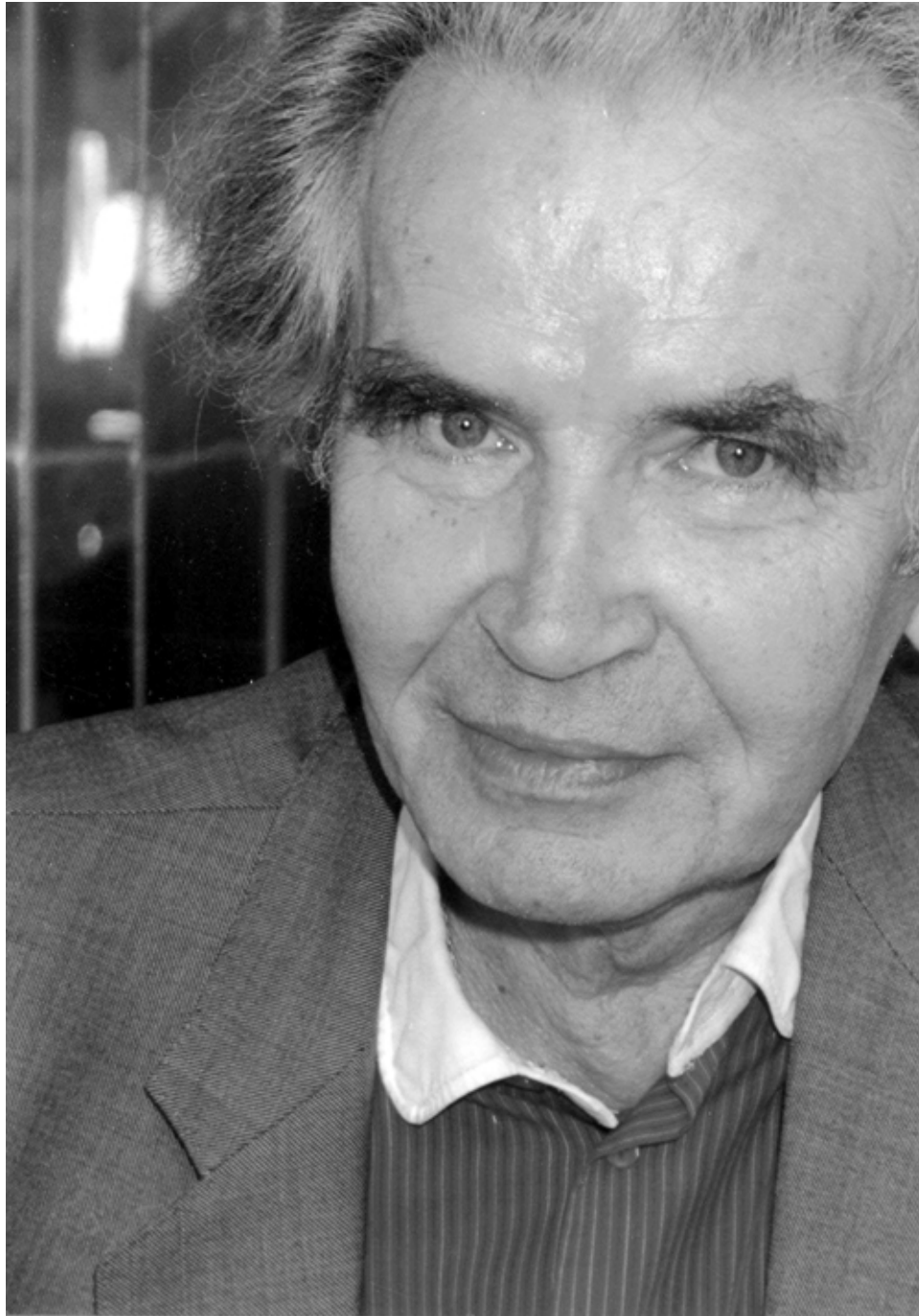
Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

<http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny>

<https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei>

**Arriba Silesia. Wspomnienie
o Jerzym Pietrkiewiczu
(1916-2007).**



Jerzy Pietrkiewicz

Florian Śmieja

Przed wybuchem wojny w 1939 roku wydał zaledwie trzy zbiory poezji lecz to wystarczyło, by stał się w ciągu kilku lat bożyszczem młodzieży polskiej i głośnym poetą wsi spod znaku autentyzmu rozumianego jako dawanie świadectwa prawdzie przeszłości.

Wszelkie ówczesne plany pokrzyżowała wojna.

Po euforii młodzięcych sukcesów literackich, Jerzy Pietrkiewicz przez Rumunię i Francję poszedł na emigrację. Znalazłszy się w Wielkiej Brytanii boleśnie odczuł nie tylko tragedię swojej ojczyzny, ale również grząskość ideologicznych pól, na które się wmanewrował. Klęska, tułactwo, zbędność w nowej sytuacji, nieprzydatność w wojsku, spowodowały jego wycofanie się w samotnictwo. Człowiek dotknięty tylu naraz niepowodzeniami, mógł być po prostu załamany, lizać rany i pogodzić się z wegetowaniem na bocznym torze.

Jednak to nagłe strącenie ze świecznika w odosobnienie dało mu dystans dla kontemplacji dramatu świata, który go nie potrzebował, umożliwił natomiast przemyślenie psychicznej sytuacji, pozwolił wyciągnąć wnioski ze stawianych prognoz. Pocieszał się myślą, że przyszłość odkryje to, co choć słabe, można ocalić a pewien był, że doceni go jego mała ojczyzna że *Ziemia Dobrzyńska rozumie ważność tego co zrobiłem*.

Oto znalazł się niespodziewanie wśród innych uchodźców w obcym kraju w nieznanym mu społeczeństwie, postanowił więc najpierw gruntownie poznać jego język. Dostał się na studia anglistyki na jeden z czcigodnych uniwersytetów szkockich w St. Andrews nad Morzem Północnym. Tam wśród młodzieży ubranej w efektowne, czerwone togi studenckie przygotowywał się do przyszłej roli pedagoga, którą miał przez kilkadziesiąt lat pełnić w Londynie ku chwale swojej profesji i dla dobra postradanej ojczyzny. Po obronieniu doktoratu na King's College w Londynie, uzyskał lektorat języka polskiego u profesora Williama Rose'a, następcy wielkich polonistów Juliana Krzyżanowskiego i Wacława Borowego.

Po powrocie profesora Rose'a do Kanady, jego stanowisko wykładowcy literatury polskiej ofiarowano młodemu Pietrkiewiczowi. Obiął je z wielkim poczuciem wagi eksponowanej pozycji w centrum świata anglosaskiego. Był świadomy obowiązku oferowania studentom świeżego i atrakcyjnego obrazu polskiej kultury, zwalczania niedobrych stereotypów z nią kojarzonych, wykorzystania nabytych na uczelniach brytyjskich doświadczeń i metod. Odciał się od staromodnych, słabą angielszczyzną wierszowanych, ale tradycją uświęconych romantyków i śmiało sięgnął po skarby rzadko docenione wydobywając zdziwionym studentom wartości nie spodziewane.

Przemyślnie dobieraną lekturę eksponował pisząc wnikliwe szkice, które po latach złożyły się na intrygujący tom pięknych prezentacji literatury polskiej. W ten sposób wyodrębnione zostały m.in. „Treny” Kochanowskiego, jako wyjątkowej wartości wczesny pomnik poezji słowiańskiej, „Pamiętniki” Paska, poezja religijna Zbigniewa Morsztyna, „Pałuba” Irzykowskiego, „Sól ziemi” Józefa Wittlina i poezja Norwida.

Tak oryginalnie prezentowana literatura polska była chwytna i atrakcyjna. Pietrkiewicz umiał nie tylko zainteresować, ale i oczarować okazując się znakomitym nauczycielem i pośrednikiem, stał się jednym ze znaczących światł, które w neuralgicznych punktach świata potrafiły rozniecić poważne zainteresowanie polską kulturą, podobnie jak to robili Lednicki, Terlecki, a później Miłosz w Stanach Zjednoczonych. Tak jak oni, wychował zastęp ludzi gotowych nieść pochodnię, przygotował doskonałych tłumaczy. Pokazał zasadność obsadzania nielicznych placówek naukowych na Zachodzie jednostkami wyjątkowymi, które zostawią znaczący ślad swojej osobowości.

Po uzyskaniu doktoratu i zapewnieniu sobie stałego stanowiska wykładowcy na Uniwersytecie Londyńskim, Pietrkiewicz ustabilizował sobie życie zwiąawszy się z Christine Brooke Rose, wybijającą się anglistką i pisarką. Mając takie oparcie, pokusił się o przejście na język angielski. Pamiętam, kiedy wydając powieść „The Knotted Cord”, oświadczył mi, że od tego momentu stał się pisarzem angielskim. Zaczął znamienity epizod pisania powieści w języku przybranym. I tak powstało osiem powieści, częściowo eksperymentalnych, w języku angielskim. Pierwsza „The Knotted Cord” wiele zawdzięczała jego wojennej powieści „Po chłopku”.

Na ogół dobrze przyjęte przez krytykę angielską, która pochwaliła język jako poetycki, może nieco wydumany, dostrzegła humor i techniczną subtelność. Niektórzy Polacy obrażali się, że ich wyśmiał w „The Future to Let”. Pochlebnie porównywany do Conrada autor realizował swoje marzenie, by mieć czytelnika, w tym wypadku, brytyjskiego. Zwierzał się, że lubił chodzić do czytelni publicznych i zaglądać do swoich książek, by czytać komentarze, które niektórzy czytelnicy pisali na marginesach książki. Wierzę, że była to pomocna korektura uczonych wywodów krytyków, z którymi Pietrkiewicz dyskutował w radiu i literackich żurnalach.

Chociaż stosunki Pietrkiewicza z władzami emigracyjnymi nie zawsze układały się

pomyślnie, mimo, że atakował on je w swoich wypowiedziach, czuł potrzebę odwzajemniania niechęci, to po upływie czasu potrafił docenić walory duchowe swych niegdysiejszych adwersarzy i krytyków.

W czasie wieczoru autorskiego na naukowej konferencji w Toruniu w roku 2000 powiedział m.in.:

Ja wyróżniam w ciele emigracji emigrację wojenną, ta stworzyła instytucje, owe instytucje dalej istnieją. Owszem, były kłótnie, bo Polacy się zawsze kłócą – napisałem satyryczną powieść o tym, ale ona potwierdza coś niebywałego w tych ludziach. Że kiedy mają opuścić tę ziemię, nie odchodzą jako niewolnicy. Nie są przegrani, oni wygrali. I to jest bardzo ważne. Reszta emigracji jest przypadkowa, zarobkowa i inna, co nie znaczy, że ja jestem przeciwko niej, niech ona będzie! Ale nie łączmy tych dwóch rodzajów emigracji, granica podziału jest bardzo wyraźna. Emigracja wojenna wiedziała czego chce.

Jeden z nowatorskich poetów polskich Pietrkiewicz jest również autorem frapującej opowieści o polskich mariawitach „The Third Adam”, wydanej przez Oxford University Press oraz odkrywczych, krytycznych esejów literackich „The Other Side of Silence”. Okazał się też doskonałym tłumaczem poezji Jana Pawła II na język angielski.

*

Poznałem Pietrkiewicza w 1946 roku w londyńskim British Museum. W latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w School of Slavonic and East European Studies. Potem pozostaliśmy w sporadycznym kontakcie korespondencyjnym do końca.

Kiedyś na widokówce z Hampstead Pietrkiewicz napisał:

Florianie Drogi, jakie to miłe, że napisałeś ze Śląska...Widzisz, te powroty do źródeł są ważne, bardziej sprawdzalne w psychice, niż freudojungowe rebusy wedle mody (moda mija).

Przed wojną odwiedził Katowice, gdzie poznał śląskich pisarzy z Wilhelmem Szewczykiem na czele. Jeszcze w Londynie w 1964 roku otrzymałem od Pietrkiewicza przesyłkę z adnotacją *załączam wycinek o Szewczyku (z 1946) – może Pan go przekazać Szewczykowi jeśli Pan zechce*. Na wieść, że chcę pisać o Szewczyku, replikował:

Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta.

Ślązakowi śląskie anonimy polecam nakreślił na nadbitce z czasopisma „Eos” z zacytowanymi pieśniami ze Śląska Cieszyńskiego.

W 1996 roku jego pocztówka donosiła:

Dzień przed Twoim listem, dostałem też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał że chodziliście do tej samej szkoły w Tarnowskich |Górach. Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, to od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz. Stąd moje zaufanie do Ciebie niezmiennie. Arriba Silesia.

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawiania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wrócić do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny, Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół był przepelniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80 lecie...

Moja dobrzyńska więc to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu

przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”, „Piąty poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak ładnie się wokół mnie zamykają.

Ze wspomnieniami o Pietrkiewiczu uczestniczyłem w konferencji w Toruniu. Napisał:

Cieszę się, że byłeś na konferencji- to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat. Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie przez Giedroycia w pożegnalnym numerze rozmowy Bolesława Taborskiego ze mną na temat tej konferencji.

Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.

*

Urodzony w Fabiankach na Kujawach w 1916 roku, zmarł w Londynie w 2007 roku. Spośród nagród i odznaczeń najbardziej, sądzę, cenił sobie doktorat honorowy swojej szkockiej uczelni.

Druga strona milczenia

Jerzy Pietrkiewicz



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Arch. Emigracji.

Rozdział III

Dojrzałi poeci wobec czynu

(fragment)

1.

Byłoby naiwnością sugerować, że dotrwanie poety do wieku dojrzałego oznacza koniecznie przetrwanie w nim doskonałego artysty. Ogólnie rzecz biorąc, poeci drugorzędni mają więcej szans na dostosowanie swoich zdolności do nowych warunków tworzenia, które wymagają mniej czarodziejskich zaklęć, a więcej umiejętności warsztatowych. Nie ulegają łatwo pokusie popadania w zadumę i służenia ideałom. Oczekują zapłaty za swój trud w postaci wyboru do jakiejś literackiej akademii albo nagrody literackiej z okazji jubileuszu dwudziestopięciolecia lub pięćdziesięciolecia twórczości poetyckiej.

Istnieje jednak inna, bardziej interesująca droga, którą może pójść dojrzały poeta. Pokusy, jakim musi stawić czoło, odwodzą go od uprawiania sztuki, a najsilniejszą z nich jest oddanie się na służbę jakiejś wielkiej sprawie. Wtedy poeta ma już wystarczająco dużo doświadczenia, jest też na tyle ostrożny, aby nie nadużywać swego pióra, a swoją niewiarę we wszelkie retoryczne deklaracje oprzeć na czasowym odrzuceniu poetyckich zaklęć. Jednocześnie jego reputacja dostarcza mu wiarygodnej wymówki do tego, by zaprzestać pisanie. Oddaje się on wówczas aktywnej służbie. Gdyby jacyś ludzie zaczęli spoglądać na niego jak na umarłego poetę, nie poczułby się obrażony. Określenie „poeta, który padł w boju”, nawet w ujęciu metaforycznym, wydaje się mu całkiem do przyjęcia.

Dziewiętnastowiecznym poetą walki, człowiekiem, który zamienił płaszcz romantycznego podróżnika na żołnierski mundur, był Byron. Nie miało znaczenia to, że nie zginął w boju; do heroicznego mitu przeszła już sama nazwa greckiego miasteczka Missolongi, w którym zabiła go gorączka reumatyczna. Tym, co się liczyło, były jego szlachetne intencje. Wielu jego wielbicieli spoza Anglii znało tylko nieliczne szczegóły, dotyczące okoliczności jego śmierci; w ich oczach była to śmierć bohatera. Bo też gest Byrona w niczym nie przypominał postawy, jaką przyjęło wielu poetów-dziennikarzy, propagandystów „słusznej sprawy”, nadsyłających w okresie hiszpańskiej wojny domowej sprawozdania z linii frontu. Najbliższym odpowiednikiem losu Byrona w tym stuleciu (tj. w XX w. – przyp. tłum.) byłaby śmierć Ruperta Brooke’a w drodze na Dardanele: pogrzeb tego poety na Skyros, wyspie Achillesa, otoczył mityczną aurą jego wojenne sonety.

Dnia 22 stycznia 1824 roku, w swoje trzydzieste szóste urodziny, Byron napisał ostatni znaczący wiersz, będący psychologicznym kluczem do zrozumienia jego aktywnego życia. W nastroju niewątpliwej szczerości pyta w nim o słuszność swych pasji. Każda ze strof mówi o emocjonalnym wyczerpaniu poety, które jednakże nie wydaje się być zwykłym, romantycznym rozmarzeniem. Przeciwnie, uderza czytelnika jako próba dokładnego opisu następujących po sobie stanów ducha poety w sytuacji, gdy w nagłym olśnieniu pojmuje on znaczenie kolejnych wyborów. (...)

Pragnienie śmierci sięgnęło tu szczytu, ale tym razem owa „na polu walki... śmierć chwalebna” oznacza zarówno zrozumienie znaczenia historycznej chwili, jak i bardzo osobiste poczucie obowiązku. Grecja jest dla Byrona czymś więcej niż tylko sprawą,

za którą poeta walczy, tak jak jego poczucie obowiązku wykracza poza granice jego osobistych wyborów. Wie, że nie istnieje nic, co zdołałoby precyzyjnie określić jego wygasłe namiętności. „Robactwo, rak i cierpień moce – to mnie ogarnie!” Nie ma żadnej retoryki w tym stwierdzeniu kończącym drugą strofę. W szóstej („chwała i Grecja”) i w siódmej („Zbudź się, mój duchu!”) Byron wraca do techniki magicznych zaklęć; jest to pozbawiony szczerego entuzjazmu skok ku ekstazie, nieprzekonywający w każdym z użytych tu wykrzykników. Rzeczywista walka nie potrzebuje ostróg w postaci słów, musi stać się faktem godnym upamiętnienia, i Byron dobrze o tym wie.

Ponieważ czynne działanie oznacza wyjście poza poezję, choćby było to tylko chwilowe narażenie się na niebezpieczeństwo, odciąga ono Byrona od retorycznych rozważań o śmierci i stawia go w obliczu chwalebnej rzeczywistości jego własnego końca. Można więc spojrzeć na „żołnierski grób”, za którym goni, jako na oczywistą konsekwencję prowadzonej przez niego walki, a także jako na sąd potępiający *in absentia* całą poezję. Zwrot „w żołnierskim tylko grobie szukaj posłania” jest wciąż retorycznym tylko żądaniem przy końcu wiersza; rzeczywisty wybór przyszedł o wiele wcześniej, wraz ze zrozumieniem dwoistego sensu historii i obowiązku, z uświadomieniem sobie, że ta pierwsza nie urzeczywistni się bez tego drugiego.

A jednak to grecki epizod ostatecznie uchronił poezję Byrona od wrogiego krytycyzmu i nieprzychylnego grzebania w życiorysie poety. Bez względu na to, jak często krytycy przypisywali nieszczerłość pisarstwu Byrona, jego śmierć w Missolongi uwolniła przynajmniej niektóre poematy od uwłaczających oskarżeń. Uratował on swe poetyckie oblicze w oczach tych, którzy nie umieją oddzielić biografii pisarza od jego twórczości. Ten pozytywny wyłom pozwolił na poszukiwanie Byrona-poety także w innych jego dziełach. Przedmiotem pochwał są dziś jego „Vision of Judgement” i „Beppo”, a wirtuozeria „Dona Juana”, zawsze zresztą doceniana, przypisywana jest, niezależnie od warsztatowej zręczności, poetyckiej wyobraźni autora. (...)

Kuszące byłoby przeanalizowanie, czy w ostatecznym rozrachunku istnieje takie zjawisko, jak poetyka walki, rzucająca tak budujący blask na poetykę słów, że wcześniej napisane dzieła, nie mające z tą walką żadnego związku, zdają się odbijać ją mimo wszystko, zyskując w ten sposób na swoim znaczeniu. W jakim stopniu instynkt poety, podpowiadający mu zaangażowanie się w godnej upamiętnienia

walce, bierze w istocie w obronę jego zagrożone dzieła, które mogą zostać zignorowane przez przyszłe pokolenia?

Jeśli Byron odczuwał potrzebę stworzenia heroicznego mitu własnej osoby, musiał też zdawać sobie sprawę ze słabości swej sztuki.

2.

Postanowienie Adama Mickiewicza, aby stać się człowiekiem czynu, przypominało decyzję Byrona. Podobnie nieoczekiwany był jego skutek. Mickiewicz zmarł w roku 1855 w Konstantynopolu na cholerę, a nie od rosyjskiej kuli. W czasie wojny krymskiej zaczęto formować polski legion i Mickiewicz udał się do Turcji, aby pomóc w jego organizowaniu i wypróbować samego siebie w bezpośredniej, patriotycznej akcji. Tego pięćdziesięciosiedmioletniego wówczas, przedwcześnie postarzałego człowieka, można by określić bez żadnej niechęci jako umarłego poetę, który od dwudziestu lat nie napisał dosłownie nic. Był w tym okresie wykładowcą, najpierw w szwajcarskiej akademii w Lozannie, potem w College de France. Wydawał też w języku francuskim tygodnik („La Tribune des Peuples”), a wreszcie został bibliotekarzem, która to posada była skromną synekurą. Mimo iż decyzja udania się do Turcji wynikała z jego politycznej działalności, osoby wspierające jego misję (takie jak książę Czartoryski czy Zamoyski) nadal widzieli w nim narodowego barda, być może niewygodnego pod pewnymi względami, pod innymi jednak jak najbardziej użytecznego dla propagowania sprawy polskiej. Liczyło się jego nazwisko.

Bez swych poetyckich osiągnięć w przeszłości Mickiewicz byłby mało wartościowym nabytkiem dla sprawy. One właśnie dały mu duchową legitymację do podjęcia czynnych działań. I podobnie jak Byron, którego podziwiał i tłumaczył, odczuwał potrzebę dostosowania świata swej wyobraźni do wymiarów praktycznego działania. O ile można sądzić na podstawie dokumentów, nie dorównywał Byronowi pod względem zdolności organizacyjnych. Także jego osobisty magnetyzm nie pozwoliłby mu na odniesienie sukcesów przywódczych, jakie stały się udziałem angielskiego poety. Miał jednak pewne doświadczenie w prowadzeniu zakulisowej polityki w okresie rewolucyjnego zamętu roku 1848. Dowodził legionem polskim we Włoszech, na rzecz którego agitował nader skutecznie, ale jednostka ta, pod względem liczebności, była bardzo skromnym przedsięwzięciem. W istocie, nawet wspomnienia

sympatyzujących ze sprawą świadków nie były w stanie ukryć rozczarowania na widok maszerujących legionistów. Niejaki G.A. Cesano zanotował, jak to pierwszego maja 1948 roku koło Porta Romana w Mediolanie zgromadził się tłum, aby uczcić polskich żołnierzy. Zamiast legionu ujrzano postarzałego człowieka, za którym szło jedenastu ludzi, w tym jeden garbus. Wzruszającym dowódcą krocącym na czele był oczywiście Mickiewicz. Jeśli przemarsz ten ilustrował pogardę poety dla rzeczywistych faktów, które inni ludzie mogli zmierzyć własnymi oczami, to wyzwanie to nie miało dość siły, aby przydać romantycznej otoczki późniejszym wspomnieniom, kiedy doszło do ich spisywania.

W jakim stopniu Mickiewicz zapamiętał ironiczną lekcję 1848 roku? Czy postanawiając udać się do Turcji rzucał wyzwanie samemu sobie?

O wiele ważniejszym przy ustalaniu motywów, jakimi się kierował, wydaje się być powracający w jego utworach motyw dynamicznego działania, stawiający zawsze głównych bohaterów w jakiejś kłopotliwej moralnie sytuacji, czy będzie nią patriotyczna zemsta poprzez zdradę, jak w „Konradzie Wallenrodzie”, czy ukrycie się pod zakonnym habitem przez człowieka, pragnącego okupić patriotycznym czynem dawną winę, jak w „Panu Tadeuszu”. Bohater musi przejść całkowitą transformację, poczynawszy od przyjęcia nowego imienia i nowych szat. W każdym jednak przypadku transformacja ta nie może dojść do skutku bez bezpośredniego udziału w jakiejś akcji. Zły uczynek, jakkolwiek okupiony przez poświęcenie, musi zostać w końcu zrównoważony skalą podjętego działania. Na przykład, Jacek Soplica w „Panu Tadeuszu” nosi habit mnicha i żyje w ubóstwie, ostatecznie jednak stawia czoło, jak na początku, niebezpieczeństwom prawdziwej bitwy.

Kiedy natomiast, jak w dramacie „Dziady”, *alter ego* autora otrzymuje jednoznaczne upostaciowanie, bohater okazuje się być poetą i znowu otrzymuje imię Konrad. Wypróbowuje potęgę swego słowa rzucając w nadprzyrodzonej sferze ducha wyzwanie Bogu, będąc w świecie rzeczywistej walki więźniem oczekującym zesłania. Bezczynność narzucona tu człowiekowi czynu ma z pewnością znaczenie symbolu.

Można się zastanawiać nad tym, czy Mickiewicz doprowadziłby przenikniętą poetyckim duchem osobę Konrada do końca dramatu. Czy oddzieliłby całkowicie od poezji, to znaczy od iluzorycznej potęgi słowa, finałową scenę odkupienia? Wskazuje

na to jeden fakt: dramat jest niedokończonym dziełem nie dlatego, że tak został pomyślany, zgodnie z romantyczną modą na pozostawianie arcydzieł jako monumentalnych rumowisk. Mickiewicz pragnął, aby „Dziady” były jego głównym dziełem, faustowskim wyrażeniem jego własnego życia. Cenił je wyżej od wszystkich innych swoich utworów. Nawet w okresie jałowych lat po napisaniu „Pana Tadeusza” wracał do „Dziadów”, uzupełniając je scenami, które potem zniszczył. Dramat był najwyraźniej pomyślany jako integralna całość, i to mimo pozornej przypadkowości numeracji poszczególnych części i fragmentów. Pragnął go dokończyć, ponieważ był on tak jednolity pod względem duchowej koncepcji, i świadomość, że jego wyobraźnia odwróciła się od tego dzieła, musiała być dla poety źródłem rozpacz.

Pozostaje jednak znaczącym faktem, że pozostawił „Dziady” niedokończone, i bez względu na to, jakie powody można przypisać temu niepowodzeniu, pozostaje ono w związku z decyzją podjęcia czynnej walki, która, być może nieświadomie, była jednoznaczna z wybraniem śmierci przez poetę od dawna już umarłego. Jeden z jego późnych liryków, napisany w Lozannie, rozpoczyna się od słów: „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada”. Nie jest to makabryczny początek romantycznej ballady, ale osobiste wyznanie. (...)

3.

Poetą, który w nowszych czasach zdał sobie w pełni sprawę z ograniczeń, jakie poezja liryczna narzuca czynnemu działaniu i na odwrót, był Yeats. Bez reszty angażował się on w walkę o narodową kulturę i niezależność polityczną Irlandii. Z powodzeniem walczył o stworzenie irlandzkiego teatru. Podziwiał politycznych aktywistów Johna O`Leary i Maude Gonne, identyfikował się też z buntami wielkanocnymi 1916 roku. Jeśli marzycielski bard także ma wziąć na siebie odpowiedzialność, to tytuł „Responsibilities” jest dla Yeatsa bardzo znamieny. Ale kryzys, który dotknął go w wieku dojrzałym, dotyczył poetyckiego stylu. Yeats żył jednak wystarczająco długo, aby spojrzeć trzeźwo na swoje poprzednie rozczarowania. Bo mimo wszystko historia dogoniła jego marzenia. Niedługo po tym, gdy zawołał z poirytowaniem: „Moje marzenia wyczerpały się” ⁴/, Irlandia zdobyła status wolnego państwa, a on sam został w tym samym 1922 roku senatorem.

Gdy tu wróciłem – pisał w styczniu 1923 roku do Roberta Bridgesa – okazało się,

że mam zasiadać w Senacie, który wprowadzie nie łamie porządku moich poranków, kiedy piszę wiersze i tym podobne rzeczy, ale zabrał mi sporą liczbę popołudniowych godzin, w których piszę listy.

Od czasu do czasu zabierał głos na posiedzeniach Senatu. W roku 1926 zgodził się przyjąć funkcję przewodniczącego komisji, która miała służyć doradztwem w sprawie nowych monet dla irlandzkiego państwa. Odrzucił jednak stanowiska w służbie publicznej, nie bacząc na ich ważność. Czynne działanie przestało być dla niego alternatywą dla pisania. Nie mogło zresztą kusić go zbyt w sytuacji, gdy zostało zredukowane do poziomu bieżących, codziennych spraw. Wtedy właśnie rzemiosło barda zażądało od swego dawnego adepta skorygowanego rachunku. Wydaje mi się przy tym rzeczą nieistotną, czy Yeats podjął to odmładzające przeobrażenie, żeby oszukać swój wiek, czy też samą poezję. Na nowo wszakże uświadomił sobie dylemat, przed jakim stoi artysta, wyrażony przez niego jeszcze w roku 1910. (...)

Jeśli od bezpośredniego udziału w codziennym życiu, rozumianego zarówno jako wewnętrzna potrzeba, jak i swego rodzaju służba, ważniejsze okazuje się przyzwyczajenie poety do mozolnego trudu składania wierszy, to pokusa aktywnego udziału w jakiejś misji zostaje zredukowana do pozornego tylko obowiązku i przestaje być nagłym nakazem.

W tym świetle powinno się, jak myślę, lepiej rozumieć kryzys zaangażowania, jaki objawił się w okresie powojennym. Poeci dojrzeli naraz, jeden po drugim, prawdziwe mechanizmy powstawania różnych ideologii, w większości błędnych i dlatego skazanych na upadek. I jeśli poeta działał kiedyś, jako naiwny wyznawca, zastraszonego neofita albo płatny propagator, taka działalność mogła napełnić go tylko obrzydzeniem. W całej wschodniej Europie po śmierci Stalina ci, którzy byli piszącymi aktywistami, wyrzucili z siebie całą swoją odrazę do słów jeszcze większą lawiną słów. A sztuka pisanie wierszy, nawet gdy brakło jej natchnienia, wydała się znowu godna szacunku. Nie istniała już groźba jakiejś wzniosłej, mglistej alternatywy: komplet narzędzi czekał, żeby je chwycić do ręki.

4.

Rozważania z poprzednich stron mogą dać wrażenie, że dojrzały poeta skazany jest

na rozczarowanie czynnym działaniem zawsze wtedy, gdy służy mu ono jako potencjalne lekarstwo na twórcze udręki. Nie odbiera to jednak wartości doświadczeniom, zdobytym w trakcie jego uprawiania, choć mogą one dostarczyć jedynie dowodu na iluzoryczność poezji. Doświadczenie jest niewątpliwym zyskiem. To, czy jest ono w stanie uodpornić poetę, nie jest już takie pewne.

Bo zamiast posłużyć jako środek na „wyleczenie” z poezji, może zakiełkować nową poetycką gorączką. Obok rozczarowanego czynną działalnością Yeatsa staje nowy Yeats, poeta pełen namietności i gniewu, przemawiający głosem nawiedzonego. Nie zamierzam tu kwestionować tego rodzaju doświadczenia. Nie próbuję też dyskwalifikować poety, a zarazem czynnego działacza, za brak konsekwencji. Chcę tylko podkreślić wagę samego doświadczenia, które, jakkolwiek może być czynnikiem odradzającym, nie odsłania innego oblicza poezji. Ignoruje ono potrzebę zachowania milczenia, tak jak młodość ignorowała potrzebę posiadania doświadczenia.

Po czym możemy poznać poetę, który jest o krok od wejścia na niewidzialną ścieżkę, prowadzącą ku krainie milczenia? Wydaje się on człowiekiem doskonale przystosowanym do życia w społeczeństwie, osiągnął pełnię męskich lat, ma za sobą sukcesy. Mimo wszystko zaprzeczy on jednak zarówno swym artystycznym, jak i społecznym osiągnięciom, kierując się ku tamtej stronie. Tym, co naznacza go w sposób wyraźny, jest jego rozczarowanie zdobytymi doświadczeniami.

Jerzy Pietrkiewicz: Druga strona milczenia, Oficyna Wydawnicza “Agawa”, Studium o poezji polskiej i europejskiej XIX i XX w., przełożył: Jan Jackowicz.

Kolekcja z Pańskiej Łaski



Lesław Kukawski, fot. Mariusz Szwarz.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Lesław Kukawski od dziecka interesował się kawalerią. Urodził się we Lwowie w 1930 r. Mieszkał niedaleko koszar 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Po zakończeniu kampanii wrześniowej nie trudno było o wojskowe akcesoria, czapkę, hełm czy oporządzenie. Wtedy narodził się początek kolekcji. Młody wówczas chłopiec zgromadził okazały zbiór wojskowych akcesoriów, ku ogromnemu przerażeniu mamy i babci. Jedną z pierwszych pamiątek w kolekcji był krzyż niepodległości, nadany pośmiertnie wujowi legionście, a przechowywany podczas okupacji przez babcię w wazoniku. Rodzina L. Kukawskiego wyjechała ze Lwowa w 1944 r. i osiedliła się w Krakowie.

Przyszły właściciel zbiorów wybrał studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W 1950 r. rozpoczął pracę w państwowych stadninach. Tu poznał wielu byłych kawalerzystów, takich jak Karol Römmel, Adam Królikiewicz, Henryk Roycewicz.

Mieszkał w Trzciance k. Poznania, w majątku Pańska Łaska. Przez wiele lat prowadził 25-hektarowe gospodarstwo rolne i zajmował się hodowlą owiec. Prawdziwy „Dziedzic” jak nazywali go koledzy. Wiele lat był prezesem poznańskiego oddziału Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy, współpracował z muzeami, występował z odczytami na sesjach naukowych, prowadził ogromną korespondencję, pisał artykuły. A zbiory ? – Właściwie to zrobiły się same – mówił – Czasami sam się zastanawiam skąd to się wszystko wzięło.

Kolekcja z Pańskiej Łaski początkowo miała być zbiorem kawaleryjskich pamiątek, uratowanych przed zniszczeniem w czasach PRL-u. Potem utworzyło się z nich duże prywatne muzeum. Zbiory zawierają m.in. mundury – ubiór garnizonowy, służbowy, wieczorowy. Poszczególne elementy ułańskiego stroju często pochodzą z różnych stron i trafiły do kolekcji w najrozmaitszych okolicznościach, ale w efekcie mundur jest kompletny. I tak np. ubiór garnizonowy oficera kawalerii składał się z kamgarnowej lub gabardynowej kurtki, bryczesów, długich butów z przypiętymi do nich ostrogami, brązowych skórzanych rękawiczek i pasa. Na kołnierzu kurtki naszyte były proporczyki w barwach pułku oraz wyhaftowane srebrne wężyki. Podczas służby obowiązywało noszenie szabli i pistoletu. Określony regulaminem był również strój wieczorowy oficera kawalerii. Składała się na niego kurtka z odznaczeniami i jedwabne rapcie do szabli. Do tego tzw. szasery czyli długie granatowe spodnie z lampasami i sztyblety – trzewiki z cholewką, a na obcasie z gładkimi ostrogami. Do stroju wieczorowego należały ponadto białe zamszowe rękawiczki i jedwabny, podszyty irchą pas z posrebrzaną klamrą, na której był wizerunek starożytnego wojownika. – Najwięcej mam kłopotu z elementami wyposażenia szeregowego ułana – mówił Lesław Kukawski. – Oficerowie i podoficerowie posiadali prywatne mundury i siodła. Zachowały się one, ponieważ zostały w domach. Natomiast szeregowi i rezerwiści mieli przydzielone wyposażenie. Magazyny przejęli okupanci, a żołnierze sprali, zniszczyli, znosili swoje stare mundury. Podobny problem jest z butami, to są szalone rzadkości. Pokazną kolekcję stanowią też ordery i emblematy, sztandary, proporce i buńczuki, siodła i całe końskie oporządzenie oraz bardzo duży zbiór fotografii, na których widać kolejnych dowódców poszczególnych brygad czy sceny z życia pułkowego.

– Czasami dziwią się koledzy, że tak dużo płacę za, wydawałoby się, nieistotny

drobiazg. Tak było w przypadku legitymacji płk. Brzezowskiego. Ale w zbieractwie ważne są pewne całości: komplet odznaczeń po jednej osobie, komplet dokumentów. Więc, zamknąłem oczy i kupiłem.

Kolekcja z Pańskiej Łaski ma niewiele białych plam. Właściciel w większości przypadków wiedział, do kogo należał mundur, czy odznaczenie, kto nosił taki, czy inny emblemat. I co stało się z żołnierzem, zginął w walce, umarł po wojnie czy żyje do dziś. Np. długi frencz z beretem, baretkami i odznaką pułkową należał do rtm. Wierzbowskiego z Pułku Uranów Karpackich. Były rotmistrz mieszkał w Kapsztadzie. Będąc kiedyś w Polsce, odwiedził Pańską Łaskę, a po powrocie przysłał swój mundur. Kilka odznak, sznurów i naramienników z własnego munduru podarował dowódca 16 Pułku Dragonów płk. Wejtko, mieszkający w Kanadzie. W zbiorach znalazł się też pas należący do twórcy legionowej kawalerii Władysława Beliny-Prażmowskiego. W czasie II wojny światowej, jego żona wysłała kufry z rzeczami z Krakowa do Lwowa. Kufry zginęły, a pas się zawieruszył i po wojnie trafił do kolekcji.



Lesław Kukawski (z prawej), fot. Mariusz Szwarz.

Ważnym śladem po polskiej kawalerii są również sztandary, proporce, buńczuki. Jeden z proporców właściciel kolekcji dostał od nieżyjącego już płk. Łękawskiego. – Łękawski zaczynał służbę wojskową w II szwadronie Legionów Polskich – mówi Lesław Kukawski. – W 1915 r. był jednym z 63 uczestników szarży pod Rokitną. Potem dowodził 3 szwadronem 2 pułku szwoleżerów. Dawniej każdy dowódca miał swój proporzec wożony za nim na lancy. Gdy ujednolicono proporce dowódców w całej kawalerii, ten wycofano. Pułkownik zachował swój proporzec na pamiątkę, a w czasie, kiedy przebywał w oflagu, przechowała go żona. – Wiem, że nie ma drugiego takiego proporca, bo 3 szwadron był tylko jeden – dodaje kolekcjoner. Właściciel kolekcji zgromadził na temat ułańskich znaków dużą wiedzę. Najtrudniej jest odtworzyć dany element, jeśli nie istniał przepis regulujący jego wielkość, barwę, rozmiar. Tak było w przypadku buńczuków – dawnego znaku władzy wojskowej. Był to koński ogon, umocowany na drzewcu zakończanym złożonym grotem. W kawalerii buńczuk uważano za wysokie wyróżnienie i cenną nagrodę. Otrzymywał go w brygadzie pułk, który osiągnął w wyszkoleniu bojowym najlepsze wyniki. Nie istniał jednak żaden przepis określający jego wygląd. I tylko poprzez żmudną pracę i zbieranie dokumentacji fotograficznej Lesław Kukawski zinwentaryzował ok. 40 buńczuków.

Na kawaleryjskie tradycje składają się także marsze, zawołania, sygnały. Każdy pułk miał swój własny marsz, stanowiący hymn pułkowy, wykonywany w szczególnie ważnych momentach. Po wieloletniej pracy udało się L. Kukawskiemu skompletować wszystkie zapisy marszy i w większości doprowadzić do utrwalenia ich na taśmie magnetofonowej.

Kawaleryjski pasjonat, który zgromadził dużą wiedzę historyczną, przez wiele lat prowadził korespondencję z byłymi kawalerzystami. Oprócz listów miał także pamiętniki, ofiarowywane mu w prezencie. Tam też zapewne można szukać odpowiedzi na pytania na temat losów polskich ułanów, ich pragnień, nadziei i rozczarowań.

Lesław Kukawski udostępniał swoją wiedzę i zbiory wszystkim, którzy interesują się historią. Organizował wystawy w różnych częściach Polski. Właściciel kolekcji występował z odczytami na sesjach naukowych Stowarzyszenia Miłośników Dawnej

Broni i Barwy. Uczestników sesji, odbywających się niedaleko Poznania czekały niespodzianki. Np. zostali zaproszeni do Pańskiej Łaski, gdzie przed gankiem ujrzeni jeźdźca na koniu w pełnym kawaleryjskim rzędzie. Właściciel zbiorów był pełnym humoru typem gawędziarza, potrafił barwnie opowiadać, przeplatając wiadomości historyczne najrozmaitszymi anegdotami. Przy codziennych obowiązkach gospodarskich znajdował zawsze czas, aby tak rzetelnie z zacięciem i pasją badacza, podejmować studia historyczne i budować prywatne muzeum, aby utrwalić kawałek polskiej historii, w trudnych czasach. – Człowiek jest wciąż nienasycony – mówi właściciel z Pańskiej Łaski – wciąż mało i mało. Pełne mam szafy, mundury nie mają czym oddychać. Złoszczę się. A potem przyjdzie wystawa jedna, druga, ktoś się wpisze. I myślę: a może warto to robić, warto to pokazywać.

Lesław Kukawski zmarł w lutym 2016 roku.



Joanna Sokołowska i Lesław Kukawski w Pańskiej Łasce w 1988 roku.

Ze srebra i drewna



Pamięci poległych w I Wojnie Światowej, Oslavje, Park Pevma.

Ryszard Sawicki

Miał krótko przystryżone włosy ze starannie zaznaczonym przedziałkiem po lewej stronie. Wąsy dochodziły do krawędzi górnej wargi i do kątów ust. Regularne, wyraźnie zaznaczone brwi biegły prosto do miejsca, gdzie łagodnie ugiwały się ku dołowi. Oczy przykrywały ciężkie powieki, które schodziły poniżej krawędzi tęczówki. Patrzył spod nich raczej smutnym wzrokiem, którego nie ożywiała żadna wesoła iskra. Można by jego wzrok uznać też za poważny, ale trzeba od razu by dodać, że z powagą mieszał się właśnie odcień smutku, który zazwyczaj wypływa z przeczucia czegoś nieuniknionego, czemu nie można się przeciwstawić, bo i tak będzie co ma być. O tym wiedział patrząc tak właśnie, a nie inaczej. Wiedział, że należy pogodzić się z losem lub raczej z tym, co losem nazywamy, a czego nie potrafimy dokładnie opisać, ani dla czego nie znamy lepszego określenia. Z losem, którego pragniemy, ale i nie pragniemy. Z tym, ku czemu dążymy, ale przed czym chcemy uciec.

Wiedział o tym i nie wiedział zarazem, kiedy patrzył w szklane oko fotograficznego aparatu. Wtedy, gdy znalazł się w górach Dalmacji i dotarł nad wijącą się w krętej dolinie rzekę. Wiedział o swoim losie tyle, ile trzeba wiedzieć, by spoglądać na świat właśnie tak, jak spoglądał: bez szczególnego zainteresowania, ale i bez niechęci, ze współczuciem, ale raczej dla innych niż dla samego siebie.

W budynku szkolnym zamienionym na przyfrontowy szpital znalazł się wraz z kolegami ze służby medycznej. Wkrótce sale przepełniły się rannymi i umierającymi, którymi trzeba było się zajmować, nie miał czasu, by myśleć o tym, co pozostawił za górami, ani też o tych, których pozostawił. Pewnego dnia znalazł jednak chwilę, by napisać list i wysłać go wraz ze swoim zdjęciem. Usiadł przy niewielkim stole w swoim pokoju, rozłożył kartkę cienkiego, zielonkawego papieru, zaostrzył ołówek i zaczął pisać.

Pisał o srebrze i drewnie zamiast o medalach i drewnianych krzyżach. Użył metafory, by uniknąć interwencji frontowego cenzora, nie mógł nazwać rzeczy dosłownie, nie mógł wyrazić swoich myśli w sposób nieskomplikowany, po żołniersku. Jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że metafory muszą być zrozumiałe dla czytelników, którzy nie wiedzieli nic więcej o wydarzeniach na froncie oprócz tego, co przeczytali w lokalnych gazetach. Chciał opowiedzieć o zdarzeniach, ale nie mógł o nich mówić wprost. Stał się więc mimowolnie poetą. Pisał tak, jakby wierzył, że metaforą można odmienić wojenny los.

Młodsze brata mego dziadka Władysława, Franciszka, znam tylko z jednej fotografii, jednego zachowanego listu i jednej pocztówki. Wiem jak wyglądał, ale nie wiem jak mógłby wyglądać, gdyby dożył mojego wieku. Gdyby postarzał się i zmienił, posiwiał, jak ja. Czy jednak byłby ode mnie bardziej czy mniej siwy, bardziej niż ja jestem teraz, czy może zachowałby ciemne, mocne włosy do późnego wieku, jak jego brat, mój dziadek? Kiedy będę starszy od stryjecznego dziadka, w tym względnym czasie własnej starości, czy będę inny niż on mógłby być? Odpowiedzi nie znajdę, z tym trzeba się pogodzić, jak z wojennym losem. Jak z każdym losem, który raz rozpala, raz wygasza iskry w oczach człowieka, niezależnie od jego woli.

Tylko przeczucie pozostaje nam, nie wiedza, nim popatrzymy w lustro i powiemy sobie: tak, taki jesteś, bo taki miałeś być, takim właśnie się stałeś. Jeśli w ogóle

spojrzenie w lustro będzie możliwe. Jeśli dożyjemy takiej chwili.

W przerwie między jednym a drugim ostrzałem artyleryjskim Franciszek pisał swój list i nie wiedział, że dostarcza wiadomości o sobie i o tym, co się wokół niego dzieje, nie tylko tym swoim bliskim, których znał, ale i tym, których nie znał, a których pojawienie się na świecie mógł jedynie przeczuwać, chociaż nie tak, jak się przeczuwa rozwój zdarzeń, które się wysnuwają ze znajomej przestrzeni.

Pisał do swojego kuzyna, ale i do mnie, wnuka swego brata, chociaż tylko kuzyna nazywał w liście po imieniu, mnie po imieniu nazywać nie mógł, bo nawet najbardziej przenikliwe przeczucie nie podpowiada przecież imion wnuków.

Pisał pod datą 6 listopada 1915 roku do Wielmożnego Pana Antoniego Tabińskiego zamieszkałego we Lwowie, przy ulicy Piekarskiej nr 1/1C, na drugim piętrze. Podał też adres zwrotny: Franciszek Sawicki, J.R. 80-Stab, K und K Feldpostamt 212. Pieczętka na kopercie ma datę o dzień późniejszą, czyli 7 listopada. Na kopercie podpisał się też cenzor wojsk austriackich, chyba Kolski, ale nazwisko jest słabo czytelne.

Kochany Anciu!

Fotografie dostałem przed kilkoma dniami, czy Ci już za nie podziękowałem nie wiem na pewno, byłem bowiem tak roztargniony w ostatnich dniach, że nie mam najmniejszego pojęcia co i do kogo pisałem. Powodów do roztargnienia było aż nadto dosyć. Nie wiedziałem sam co mam najpierw robić, czy pisać testament, czy uczyć się po włosku. To pierwsze było wskazane na wypadek nagłej a spodziewanej co minuta jazdy na 28 centymetrówce, drugie zaś omal się nie przydało podczas również spodziewanej wycieczki do „Wiecznego Miasta”. Ale stało się inaczej. Nie moja w tem zasługa, lecz tych, którzy hojnie będą (prawdopodobnie) obdzielani za zasługi, bo dużo srebra, ale też i dużo drewna na nasz pułk przypadnie. Wiele rzeczy strasznych widziałem i wiele chwil niezapomnianych na wojnie przeżyłem lecz to, co tutaj się działo, to przechodziło już siły ludzkie, a byłem przecież tytko w przedpieklu, bo prawdziwe piekło było dopiero na górze, gdzie wszystko fruwało w powietrzu. Były Twój przyjaciel przestał być grzecznym chłopcem, a zaczął być grubo niegrzecznym, zwłaszcza, gdy zaczęto się dobierać już i do tych, których niby ochrania międzynarodowa

urnowa genewska. Rekursować nie było kogo, bo w programie całej tej zabawy był tzw. Trommelfeuer, więc i nasza szkoła bez względu na to, że ozdobiona czerwonym krzyżem, stanęła w ogniu najcięższych armat, deszczu granatów i szrapneli. Byliśmy odcięci od świata, a tymczasem coraz bliższy był ogień karabinowy, więc już zdawało się, że ... albo-albo. Sale szkolne przepełnione, nie było więc czasu myśleć nawet o tem, że lada chwila może wszystko wylecieć w powietrze. Na szczęście do tego nie doszło, ale za to dom sąsiedni dostał parę szrapneli i lekarz pełniący tam służbę padł na posterunku. Nie należał on wprawdzie do naszego pułku i mało go znałem, ale bardzo mi go żał. My straciliśmy jednego medyka i kilku sanitariuszy, lecz ci byli na linii bojowej. Cała ta bezustanna kanonada trwała bez przerwy dwa tygodnie, lecz, jak wiesz zapewne z dzienników, skończyła się tem, że Włosi zamiast w tryumfie, przyszli do miasta jako jeńcy. Od dwóch dni panuje już względna cisza. Przed nami leży obfity, na tysiące liczony plon strasznej pracy artylerji. Zima tutaj bardzo lekka, więc spodziewać się można, że nie tylko od kul będziemy przenosić się do krainy chwały. Od wczoraj mamy już parę okazów azjatyckich lub czegoś podobnego. Ja dotychczas czuję się zupełnie zdrowym, czego najlepszym dowodem jest tak obszerny list. Czy wszystko to co piszę będzie zrozumiałym dostatecznie nie jestem pewny. Przyjmij jeszcze raz serdeczne podziękowania za fotografie, jeżeli będziesz miał czas, ochotę i temat, to napisz do mnie. Całuję Cię serdecznie, Cioci rączki całuję, ucałowania dla Adasia, załączam też pozdrowienia dla wszystkich we Lwowie. Kochający brat Franciszek.

Kilka dni wcześniej napisał do rodziców na odwrocie swojej fotografii wykonanej przez kuzyna Antoniego we Lwowie, którą użył jako pocztówkę. I na tej fotografii podpisał się cenzor.

Kochani Rodzice!

Posyłam fotografię wykonaną przez Ancia Tabińskiego, którą mi przysłał ze Lwowa. Spodziewam się, że dojdzie za pośrednictwem żandarmerii. Koło mnie bardzo wesoło nie jest, dotychczas zdrowszy jestem, daj Boże bym mógł za parę dni tak samo donieść. Dotychczas nie dostałem ani słowa z domu, proszę choć parę słów napisać. Całuję rączki kochanych Rodziców, Czesia i Marysię, kochający syn

Franciszek.



Pocztówka wysłana do rodziców we Lwowie.

Rok 1915 był rokiem porażek państw Entanty i sukcesów państw centralnych. Dwudziestego dziewiątego października na froncie południowym, który obejmował front austriacko-włoski, bałkański i Dardanele, Bułgarzy odzyskali Veles, a Francuzi zdobyli stację Strumica. Trzydziestego Francuzi wyparli Bułgarów z rejonu rzeki Vardar koło miejscowości Krivdak. Trzydziestego pierwszego Brytyjczycy wzięli udział w operacjach w rejonie Gevgel i Doiran (Macedonia). Pierwszego listopada Włosi odnieśli sukces w bitwach w pobliżu Gorycji i Zagory. Przełęcz Babunia między Uskuli i Prilepem broniło pięć tysięcy Serbów przeciw sześciu dywizjom nieprzyjaciela. Trzeciego listopada Rosjanie odnoszą sukcesy w bitwach koło Siemkowic nad Strypą i w rejonie Dwińska, biorą do niewoli pięć tysięcy jeńców. Czwartego Turcy atakują pod miejscowością Azac, ale zostają wyparci. Serbowie walczą z Bułgarami pod Izworem w Macedonii. Piątego listopada padł Nisz po trzech dniach ciężkich walk. Niemcy kontrolują dunajsko-ottomańską linię kolejową. Główne siły austriacko-niemiecko-bułgarskie łączą się pod Kriwizem, 35 mil od Niszu. Szóstego niemiecki konwój z amunicją dla Bułgarów i Turków dociera w rejon miejscowości Rusczyk. Siódmego Niemcy dochodzą do miejscowości Kruszewac i przekraczają rzekę Morawę pod Kryliwem.

W dniach, kiedy Franciszek i jego koledzy cieszyli się względnym spokojem, na innych odcinkach frontu południowego miało miejsce wiele ważnych wydarzeń. Po latach można te wszystkie wydarzenia ująć jednym rzutem oka, ale dla frontowego żołnierza było to trudne, a czasem niemożliwe. Wiadomości docierały zza przełęczy górskich z opóźnieniem, jeśli w ogóle docierały. Franciszek miał za zadanie opiekować się rannymi, bał się, że podczas lekkiej zimy szerzyć się będą choroby. Jemu samemu zdrowie dopisywało. Żałował kolegów, którzy zginęli w bitwie, chociaż nie znał ich dobrze.

Ja, czytelnik listów stryjecznego dziadka, mogę bez trudu sprawdzić kalendarz wydarzeń roku 1915, mogę oglądać fotografie ze wszystkich frontów Pierwszej Wojny Światowej. Ale skazany jestem na to, że nigdy nie dowiem się więcej o tym, co przeżywał Franciszek nad rzeką Soczą, co czuł pisząc list do domu. Nie wiem nawet, czy dotarła do niego odpowiedź od rodziny, ani, czy mógł kiedykolwiek znowu wysłać list do Lwowa.

Przez wiele lat los Franciszka nie był znany nawet najbliższym. Rodzina przekazała z pokolenia na pokolenie tylko tę wiadomość, że stryj Franek nie wrócił z frontu w Dalmacji. W czasie wojny nadeszła krótka wiadomość od administracji wojskowej o tym, że poległ. Żadnych szczegółów, tajemnica wojskowa. Po zakończeniu działań wojennych przyszedł do Józefa Sawickiego przyjaciel Franka, który służył w tym samym pułku i powiedział, że Franek zginął od odłamka pocisku artyleryjskiego, który trafił go w głowę, kiedy klęczał przy łóżku. Do tej informacji prababka, żona Józefa, dodała swoje opowiadanie. Pewnej nocy, jeszcze podczas wojny, a przed oficjalnym powiadomieniem, które nadeszło od władz wojskowych, zbudziła się i powiedziała do męża, by poszedł do swojej kancelarii, bo tam na kanapie śpi Franek. „Właśnie przyjechał i śpi”, powiedziała.

Moja wiedza o Franku jest trochę taka, jaką przekazała prababka Helena, czyli graniczy z wiarą w duchy, a trochę taka, jaką przekazali inni członkowie rodziny, u których Franek nie sypiał na kanapie. Mogę ją wzbogacić dzięki temu, że zbiory archiwalne stają się coraz łatwiej dostępne w wyniku zmian politycznych. Kiedy pierwszy raz usłyszałem od drugiej żony pradziadka, Heleny (żyła ponad sto lat, więc zdążyłem odwiedzić ją w Jarosławiu, gdzie mieszkała z córką Marią po Drugiej Wojnie Światowej), opowiadanie o wizycie Franka w ich domu za Bugiem, to właśnie

opowiadanie zrobiło na mnie największe wrażenie, a nie lektura dokumentów. I zazdrościłem jej tamtego spotkania.

Zazdroszczę też stryjowi Leszkowi, młodszemu bratu ojca, jego wyprawy nad rzekę Soczę w lecie 2001 roku. Taką wyprawę chciałbym sam przeżyć. Byłaby to wyprawa podobna do tej, którą odbyłem z ojcem w 2005 roku do miejsc, gdzie znalazł się on w czasie Drugiej Wojny Światowej. Żałuję tylko, że Franek nie będzie mi takim samym towarzyszem, jakim był ojciec. Chciałbym pojechać w Dolinę Isonzo nie latem, a późną jesienią, by poczuć wiatr wiejący ku północy w górę rzecznej doliny. Chcę przemierzyć własnymi stopami ulice paru miast w Julijskich Alpach. Chcę zaglądnąć w okna domów, porozmawiać z mieszkańcami. Dzięki poszukiwaniom Leszka wiem, że budynek szkolny, w którym umieszczono polowy szpital został wprawdzie przebudowany, ale stoi na tym samym miejscu. W muzeum w Caporetto jest sporo eksponatów, które stanowią przedmioty pozostawione przez żołnierzy kilku walczących armii. Są dokumenty, a wśród nich listy wysłane z frontu i na front, podobne do listu Franka z 6 listopada 1915 roku. Można w nich znaleźć żywe niegdyś, a dziś uśpione myśli, którymi dzielili się krewni z krewnymi, przyjaciele z przyjaciółmi... ludzie z ludźmi. Myśli wyrażane w różnych językach, ale w każdym z nich przynajmniej trochę zrozumiałe dla osoby, która zna treść jednego z nich. Myśli te są jak cienie cieni, ale przecież są. Odczytuję te myśli z listu i pocztówki Franka, może odczytam więcej z innych listów, uzupełnię wrażenia, domyślę się szczegółów, utworzę własne tło dla metafor w nich zawartych. Kiedyś podróżowałem do zupełnie obcych miejsc, teraz podróżuję przede wszystkim tam, gdzie rozpoznać mogę znane mi ślady. I dołączyć do nich swój ślad. Dołączyć cień do cienia.



Szkoła w Pevmie (odbudowana). Tu znajdował się w 1915 r. szpital polowy, w którym zginął stryj Franek, fot. Leszka Sawickiego.

Leszek zaczął swoje poszukiwania pisząc listy do austriackich placówek dyplomatycznych. Ambasada Austrii w Warszawie odesłała jego prośbę o informacje do konsulatu w Krakowie, a ten skierował ją do państwowego archiwum w Wiedniu. Po miesiącu Leszek dostał odpowiedź. Dyrektor Archiwum, Christoph Tepperberg, HR Dr, informował w uprzejmym tonie, że

Franz Gwido Sawicki, urodzony w 1887 roku w Białym Kamieniu (Złoczów, Galicja), rzymski katolik, podoficer sanitarny cesarsko-królewskiego pułku piechoty nr 80 w stopniu zugsfuehrera, tytularnego feldfebla, poległ dnia 30 listopada 1915 roku w Pevmie (Gorycja) i tam został pochowany na cmentarzu wojskowym.

Leszek odszukał przy pomocy szkła powiększającego niewielki punkt z nazwą „Pevma” widniejący na mapie rejonu Gorycji, na przedpolu Alp, tuż przy granicy włosko-słoweńskiej. Wybrał się tam wraz z żoną samochodem w 2001 roku.

Opowiadał, że zdecydowali się opuścić pod Willach zatłoczoną austriacką autostradę i jadąc dalej wąską szosą po kwadransie pokonawszy stromą przełęcz Wuerzenpass, znaleźli się w Słowenii, w kraju dopiero od dziesięciu lat niepodległym, choć od Wielkich Wojen minęło sporo lat. Zatrzymali się na krótki odpoczynek w przydrożnej kawiarni. Dostali olbrzymie porcje jabłkowego strudla. Podczas posiłku wdali się w rozmowę z lokalnymi mieszkańcami i szybko odkryli, jak miło znaleźć się byłemu Lwowiakowi i Galicjaninowi w kraju, gdzie słowo „fiakier” znaczy „fiakier”, a „precel” znaczy „precel”. Leszek poczuł się prawie u siebie, tak, jak się czuje w Pradze czy Bratysławie. I nawet w stolicy państwa Franciszka Józefa, w Wiedniu, gdzie podobizny cesarza używane są do dekoracji witryn sklepowych, a przewodnik po pałacu Schoenbrunn objaśnia, że w tym pokoju, na żelaznym polowym łóżku sypiał *der liebe, alte Kaiser*.

Po posiłku i miłych wspomnieniach Leszek i Maria pojechali dalej. Przez godzinę podjeżdżali na przełęcz Wrsic, która rozcina główny grzbiet Alp Julijskich na wysokości 1,611 metrów. Na przełęczy, po uciążliwej jeździe pod górę, czekała na nich kolejna miła niespodzianka. Otworzył się przed nimi obszerny widok na Dolinę Isonzo. Po lewej, na ramieniu stromego łańcucha górskiego Prisojnika (2,547 mnp), zobaczyli czarne wnęki potężnego austriackiego bunkra, pozostałość po linii obronnej, która zatamować miała pochód armii włoskiej w głąb terytorium Austrii. To w tej dolinie Franek udzielał pomocy rannym kolegom, to tutaj słyszał w przerwach pomiędzy kanonadami artyleryjskimi bicie dzwonów dobiegające z pobliskich świątyń. Może zastanawiał się, jak zapewne wielu z jego szpitalnych podopiecznych, komu tego czy innego dnia, który dzwon wybije. Kiedy mógł odpocząć przy swoim polowym łóżku i wpadał w zadumę, wtedy dźwięk dzwonu musiał wydawać się szczególnie donośny. Klękał więc i odmawiał pacierze. Tak samo czynił zresztą podczas ostrego ostrzału artylerii, gdy każdy kolejny pocisk niósł śmierć i zniszczenie. Po ostrzale podnosił się i biegł z noszami w kierunku okopów. Aż i jego uderzył odłamek pocisku. Franek był jednym z tych lwowskich studentów, których objęła wojenna mobilizacja 1914 roku. Znalazł się w 80 pułku piechoty Najjaśniejszego Pana, który stacjonował we Lwowie, przy ulicy Św. Piotra na Łyczakowie. Lwowski garnizon tuż przed wojną liczył jedenaście tysięcy żołnierzy, a żołnierze w niebieskawych mundurach stanowili element miejskiego folkloru. Krążyły o nich rozmaite wesołe anegdoty. Bataliony obu lwowskich pułków, 30 i 80,

znalazły się na włoskim froncie, gdy rząd Italii opowiedział się po stronie Ententy, przeciw monarchiom Austro-Węgier i Niemiec. Była to wojna narodów i przypominała wojny napoleońskie. W armii austro-węgierskiej służyli przedstawiciele wszystkich narodowości cesarstwa, a więc Austriacy, Polacy, Węgrzy, Czesi, Słowacy, Słoweńcy, Rusini, Bośniacy. Austriaków wspierali Niemcy, a Włochów Francuzi, Anglicy, Amerykanie.

Nad przełęczą Wrsic wiał wiatr, kiedy Leszek i Maria wsiedli znowu do samochodu, by zjechać doskonałą szosą biegnącą w dół ku rzece Jechali pośród alpejskich łąk, mijali domy o brunatnych poddaszach i czterospadowych dachach, typowe w tej okolicy Alp. Rzeka Socza płynęła coraz szerszym korytem ku południowi, tworząc piękne krajobrazy. W górnym biegu jej wody wydawały się turkusowe, w dolnym przybierały barwę malachitu. Woda kontrastowała z białymi wapiennymi ścianami, które odbijały się dokładnie w ciemnym lustrze wszędzie tam, gdzie nurt był spokojny. Czasem nurt był jednak tak spieniony, że biel wody i biel skał zlewała się razem, chyba, że czeluście były zupełnie zasłonięte przed wzrokiem ciekawych podróżnych. Dziś Socza jest popularnym rejonem spływów kajakowych, odbywają się też na rzece międzynarodowe zawody wodnych sportowców. Leszek i Maria widzieli wielu entuzjastów takich sportów, jak odziani w kombinezony, kaski i kamizelki przygotowywali się do spływu, albo walczyli z nurtem rzeki. Ich stroje w niczym nie przypominały wojskowych mundurów cesarsko-królewskiej armii, jednak poszukiwaczom wojennych śladów sportowe kombinezony kojarzyły się właśnie z mundurami. „Gdzie są chłopcy z tamtych lat... nad grobami wieje wiatr”, nucili sobie jadąc samochodem w dół doliny.

Front odległej w czasie wojny rozciągał się od okolic Montefalcone, położonego przy ujściu Soczy do Adriatyku, czyli nieopodal malowniczego miasta Triest, aż do rejonu Trentino. Cmentarzy wojennych jest sporo, są zwykle ukryte w zagajnikach, a wśród zabudowań miejskich znaleźć można muzea poświęcone tej jednej z największych i najdłuższych bitew w historii świata. Leszek i Maria odwiedzili kilka cmentarzy, kilka muzeów. Przywieźli zdjęcia wielkiego mauzoleum włoskiego w Oslaviji, między innymi zdjęcia z wnętrza obszernej rotundy wieńczącej szczyt wzgórza, ku któremu wiodą szerokie kamienne schody obramowane ścianami wysokich cyprysów. Tam też, osłonięci przed podmuchami wiatru, w panującej wokół zupełnej ciszy, zapalili znicze w imieniu rodziny Sawickich. Modlitwę poświęcili nie tylko pamięci

Franciszka, ale i setek tysięcy ofiar krwawych bojów, które toczyły się aż do października 1917 roku, gdy ofensywa austriacka i niemiecka powstrzymała umiarkowane zwycięstwa Italii i jej postępy terytorialne osiągnięte w jedenastu poprzednich bitwach. Tę ofensywę poprzedził atak gazowy pod Bevecem, który doprowadził do przerwania frontu i panicznego odwrotu armii włoskiej. Ten odwrót opisany został na kartach „Pożegnania z bronią”.



Oslavija. Leszek Sawicki zapala znicz w imieniu rodziny Sawickich.

Nim Leszek i Maria pożegnali się z zieloną doliną Isonzy, znaleźli się w miejscowości Logu, niedaleko krasowych źródeł rzeki. Nad okolicą górują wapienne szczyty Rombom (2,208 mnp) i Czukla (1,767 mnp). W tej zagubionej w górskiej okolicy miejscowości jest cmentarz z 859 mogiłami żołnierzy cesarsko-królewskiej armii.

Wielu z nich nie zostało nigdy zidentyfikowanych, ustawiono nad nimi bezimiennie krzyże. Większość tych żołnierzy poległa 24 października 1917 roku, w decydującym dniu bitwy, podczas ataku na włoskie pozycje pod Czyklą. Bitwa rozegrała się pod osłoną śnieżnej burzy, więc w warunkach, które sprzyjały atakującym. Najwięcej poległych było żołnierzami 59 salzburskiego pułk piechoty, ale i wśród nich znaleźć można słowiańskie nazwiska. Nagrobki Węgrów przystrojone są wstążkami o narodowych barwach, co świadczy o pięknej, nieustającej pamięci rodaków. Polskich wstążek nie było na żadnym cmentarzu. Na cmentarzu w Bovecu nie ma tablic z nazwiskami, groby są puste, bo szczątki włoskich żołnierzy zostały przeniesione do wielkiej kostnicy w Kobaridzie. Najlepiej zadbany cmentarz Leszek i Maria odnaleźli w Ukancu, na zachodnim brzegu jeziora Bohinskiego. Czytelne tabliczki na krzyżach pozwalają bez trudu zidentyfikować żołnierzy z obu lwowskich pułków.

Kobarid to niewielkie miasto z kościołem o szpiczastej wieży, z hotelem i kilkoma restauracjami. W literaturze znane jest lepiej pod nazwą Caporetto. Leszek i Maria stwierdzili, że literackie opisy sprzed lat niewiele różnią się od dzisiejszych widoków. Niskie domy z „Pożegnania z bronią” i dziś zdobią balkony tonące w kwiatach. Wąskie, kręte ulice wypełnia co pół godziny głos kościelnego dzwonu. Nie ma tylko fontanny na zapleczu jednego z domów przy rynku opisanej w książce. Muzeum w Caporetto mieści wiele eksponatów z pól bitewnych. Można zobaczyć broń, amunicję, ulotki, listy, fotografie i szkice sytuacyjne. Hełm podziurawiony dla odcedzenia makaronu, obok denko menażki, też podziurawione, by umożliwić przesiewanie parmezanu. Na zdjęciach ogrom zniszczeń: ruiny domostw, kręte linie okopów z tysiącami poległych, jeńcy wojenni i ewakuowana ludność cywilna. Jedną z sal wypełnia ogromna mapa plastyczna walk nad Soczą. Obok schron skalny, w którym umieszczono w pozycji siedzącej woskową figura żołnierza. Jest to młody człowiek we włoskim mundurze. Siedzi pod skalną ścianą i pisze list.

Włosi byli gospodarzami doliny Isonzo w latach 1919-1947. Wybudowali na wzgórzu nad Caporetto wielki panteon, w którym zgromadzono szczątki żołnierzy. Jadąc w dół doliną rzeki dojeżdża się w końcu do wsi Pevma, czyli Piume, którą włoskie archiwum wskazało jako miejsce pochowania Franciszka. Wieś to właściwie podmiejskie osiedle Gorycji, miejscowości, w której wille i pałace posadowione na wzgórzach toną w zieleni ogrodów. W samym Piume jest kilkanaście domów, kościół i szkoła. Budynek szkolny to nie ten sam, w którym w czasie wojny mieścił się szpital,

ale stoi na tym samym miejscu, za tym samym murem. Leszek i Maria dotarli do Piume po południu. Kościół znaleźli zamknięty, plebanie bez znaku życia. Szukali kogokolwiek, z kim mogliby zamienić parę słów. Zapukali do drzwi jednego z domów na zapleczu kościoła i zostali zaproszeni na kawę. Wkrótce odkryli, że dla trzech pokoleń mieszkańców tego domu, łącznie z babcią w wieku lat 78, historia bitewna jest niemal rodzinną historią. Domownicy opowiadają o walkach, pokazują zdjęcia. Mówią, że poległych żołnierzy armii austriackiej grzebano po przeciwnej stronie szosy. Szkoła i kościół zostały zburzone podczas wojny, dopiero później je odbudowano. Jedno ze zdjęć w rodzinnym albumie zostało zrobione podczas pogrzebu żołnierza na cmentarzu w Pevme. Obok trumny stoi kapelan, koledzy. Dalej ustawiono szereg krzyży ze stożkowymi okapami. Cmentarz wojskowy został zlikwidowany przez Włochów w latach 1936-1937, szczątki przeniesiono do panteonu w Oslaviji, jeden kilometr dalej. To w Oslaviji armia generała Cadorny starała się przebić na wschód, omijając miasto Gorycja. Oslaviji broniły oddziały austriackiej piątej armii, a wśród nich 30 i 80 pułki piechoty ze Lwowa. W albumie wydanym w Słowenii przeczytać można, że trzecia i czwarta bitwa nad Soczą toczono na przedpolu Gorycji, na linii obronnej Podgora-Pevma-Olavija-Sabotin. Najkrwawsze walki stoczono o wzgórze nr 153. Walki toczyły się według schematu: zmasowany atak artylerii, kontratak, ogień zaporowy wroga, nieco spokoju, poczem zmasowany ogień artylerii drugiej strony. Okopy zdobywano w walkach wręcz, z użyciem noży, saperek, w czym celowały zwłaszcza oddziały dalmatyńskie i bośniackie. Włosi używali nabitych gwoździami buzdyganów. W tych walkach pozycyjnych tracono lub zdobywano po kilkaset metrów kwadratowych terenu.

Może wrócę ciężko ranny,

lub dostanę krzyż drewniany, może ma mogiła stanie

gdzieś w wąwozie na Bałkanie,

nucił stryj Leszek pokazując mi album i komentując fotografie. I czytał dalej. W nocy na 30 listopada 1915 roku generał Zeidler dowodzący 58 austriacką dywizją, zluzował pięć batalionów umęczonych obrońców Oslaviji. Włosi zaprzestali tej nocy ataków z powodu trudnych warunków atmosferycznych, ale ich artyleria dalej strzelała. Dziś na szczycie osławionego wzgórza nr 153 wznosi się otoczona

cyprysami wielka kamienna rotunda. Wśród żołnierzy włoskich spoczywa też kilkuset żołnierzy armii austro-węgierskiej. O nich właśnie Leszek zapytał starszego mediolańczyka, kustosza muzeum. W spisie poległych, który przyniósł kustosz nie było jednak nazwiska Franka. Leszek dostał włoski formularz adresowany do Ministrero della Difesa, by mógł skorzystać z niego tak, jak korzystał z uprzejmości austriackich urzędników. Ale poszukiwania te nie przyniosły żadnych rezultatów. Przed wejściem do rotundy stoją dwa działka polowe, może jedno z nich strzeliło w 1915 roku w kierunku szkolnego budynku w Pevme-Piume? Leszek i Maria wrócili do kraju nie spiesząc się. Jechali pod pogodnym, błękitnym niebem ostatnich dni lata. Przejeżdżali znowu przez białe Alpy, mijali intensywnie zielone łąki w dolinach i spokojne, małe osady. Pamiętali o małej osadzie Pevme-Piume tonącej w oleandrach i winorośli. Pamiętali twarz młodego człowieka z krótko przystrzyżonymi włosami, ze starannie zaznaczonym przedziałkiem po lewej stronie. Oczy przykrywały ciężkie, a może tylko zmęczone powieki, spod których patrzyły zamyślane oczy.